

B L U S Z C Z

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 11 PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU

NR. 41

TREŚĆ NUMERU: Powszechna służba obywatelska kobiet — *Herminja Naglerowa*. Jaskółka — *Regina Zienkiewiczowa*. Poezja: „U nas“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Ostatnia partja — *J. Kwiecińska-Korczakowska*. Polka w Indjach — *Wasz obieżyświat H. S.* Z wystaw — *l. j. Z teatrów* — *Herminja Naglerowa*. Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Gospodarstwo kobiety pracującej zawodowo — *Jadwiga Krawczyńska*. Reorganizujmy nasze ogniska domowe — *mar.-mor.* Jesień a cera — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Remont jesienny kuchni — *M. Ulanicka*. Kuchnia włoska — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Tweed i jersey-tweed — *Well*. Dodatek powieściowy: „Margot między górami“ — *Wł. Wasilewska*. Arkusz wzorów.

POWSZECHNA SŁUŻBA OBYWATELSKA KOBIEC

Żyjemy w dobie rozszerzania i pogłębiania pojęć. Odbywa się to drogą analizy i rewizji dotychczasowych definicij, poczem nastąpić musi syntetyczne skupianie tych uzupełnień, które wynikły z życiowych, realnych wskazań. W tej chwili wiele dziedzin naszego życia jest ciągle jeszcze w stadium przygotowawczem, lecz udany eksperyment staje się odrazu już zdobyczą. Jest to zresztą normalny rozwój postępu, a przyspieszanie ewolucji wypływa ze wzmożonego tempa naszych czasów, z zasobów nagromadzonej energii żywotnej, która, zwłaszcza u nas, w Polsce, dopiero po odzyskaniu niepodległości może się celowo wyładowywać.

Szczególnie wyraźnie zaznacza się u nas praca społeczna, która nie jest niczem innym, jak zużytkowaniem wszystkich sił i wartości dla uzgodnienia, ułatwienia i wyrównania wzajemnego współżycia warstw społecznych. Praca społeczna łączyć się więc musi ściśle z ideologją państwa, w którego ramach odbywać się powinien ruch ewolucyjny. Ponadto wzajemny stosunek państwa i społeczeństwa, polegający na umowie, ujętej krótko: — prawa i obowiązki — domaga się bezustannej obustronnej czujności, aby zachowana była równowaga sił. Społeczeństwa bowiem, które posiadają zrozumienie dla tej równowagi, cechuje inicjatywa czynu, owa dodatnia aktywność, pomnażająca kulturalny i ideowy stan posiadania. Natomiast społeczeństwa, domagające się wyłącznie praw dla siebie, a jednocześnie odmawiające spełniania obowiązków — są destruktywne. Przykładów w dziejach jest na to pod dostatkiem, leżą poprostu na wierzchu.

Jeżeli więc dadzą się zanotować fakty dobrowolnego przyjmowania na siebie obowiązków publicz-

nych na rzecz organizacji, jaką jest państwo, wolno z nich wysnuwać wnioski dodatnie zarówno o społeczeństwie, jak i o przyszłości państwa. Taki właśnie optymizm budzi w nas leżący przed nami „Szkic projektu powszechnej służby obywatelskiej kobiet“. Jest to sprawa w całym tego słowa znaczeniu — aktualna, a jednocześnie rzutuująca w przyszłość. I dlatego, sądzę, należałoby ją uprzystępnic ogółowi kobiet, zwerbować opinię kobiet do współdziałania w jej realizacji.

Przedewszystkiem trzeba zastanowić się nad przyczynami, które spowodowały potrzebę zaofiarowania obowiązkowych świadczeń młodzieży żeńskiej na rzecz państwa.

Niewątpliwie jedną z przyczyn jest zrozumienie konieczności równowagi praw i obowiązków. Kobieta polska otrzymała wszystkie prawa polityczne, jest więc równouprawnionym obywatelem. Mimo to jednak musi jeszcze zawsze uzasadniać słuszość swojego równouprawnienia, musi walczyć z przesadami, które trwają wbrew rozumnemu i postępowemu prawodawstwu. Jednym z kontrargumentów naszych przeciwników jest — obowiązek służby wojskowej. Kobieta, mając równe prawa — mówią ci przeciwnicy — spełnia mniej obowiązków, nie spełniając właśnie tego najcięższego, jakim jest służba wojskowa.

Jednakże nie tylko argument niesprawiedliwego rozdziału obowiązków mógł zrodzić ideę obywatelskiej służby kobiet. Byłaby to przyczyna zbyt blaha i zbyt jednostronna. W kobiecie dzisiejszej tkwi głęboko świadomość obywatelstwa. Wie ona, że z chwilą otrzymania praw stała się współczynikiem organizacji państwowej, stała się wartością społeczną, której świadczenia wzbogacają zasób wspól-

nej pracy. Widzimy więc ochotnicze szeregi kobiet, działające wszędzie, gdzie tego społeczna służba wymaga. Kobiety biorą się do pracy z entuzjazmem, który niejednokrotnie zastąpić musi — fachowość. A właśnie dyletantyzm i przypadkowość są często ujemną cechą tej pracy, wykonywanej z dobrej i nieprzymuszonej woli. Myśl więc, żeby pracę społeczną kobiet ująć w pewne ramy, żeby jej nadać stałą formę obowiązku i praktycznych doświadczeń, najśluszniej musiała się skonkretyzować, jako idea — powszechnej służby obywatelskiej kobiet. Chodzi tu o dyscyplinę pracy, o jej metodę i o jej trwałość.

Jako podstawową przyczynę powstania omawianej idei, uważać bowiem należy sprawę — ciągłości pracy. Musi ona być podawana z rąk do rąk, z pokolenia w pokolenie. Za czem idzie konieczność szkolenia nowych kadr, któreby systematycznie kontynuowały i ulepszały pracę społeczną. Trzeba wreszcie wciągnąć do pracy jaknajszersze rzesze, a tem samem niejako uspołecnić społeczność kobiecą. Tak szeroko zakreślony plan miałby na celu konkretyzowanie projektów, obejmujących wszelakie dziedziny życia społecznego i dokonywanie poprawy tego życia przez maximum celowego wysiłku.

Mam wrażenie, że przyczyny powstania idei powszechnego obowiązku służby obywatelskiej kobiet są dostatecznie jasne i wyraźne, że ich oczywistość nie może podlegać żadnej dyskusji. Tymczasowa Komisja, wyloniona z pośród grona kobiet, biorących udział w pracy społecznej, ułożyła szkic projektu, który określa cele służby, jej organizację, dziedziny pracy, oraz jej stopniową realizację.

Cele Powszechnej Służby Obywatelskiej Kobiet według tego projektu są następujące:

„1) Przystosowanie społeczeństwu polskiemu czynnych członków do pracy społeczno-twórczej przez wychowanie silnych duchowo i fizycznie kobiet, przygotowanych ideowo i fachowo do pełnienia bezinteresownej pracy obywatelskiej, pojętej, jako służba, nie zaś opartej na dowolności świadczeń.

2) Stworzenie świadomego, zorganizowanego wysiłku społecznego, który przez walkę z nędzą, ciemnotą i przestępczością wpłynie na podniesienie stanu kulturalnego kraju“.

W tych ogólnikowo ujętych punktach mieści się zarys pracy, jej ideowa potrzeba zarówno dla osiągnięcia rezultatów materialnych, jak też dla kształtowania ogólnych zasad moralnych. Organizacyjnie służba powszechna wyglądałaby w ten sposób:

„Państwo powołuje do powszechnej służby obywatelskiej wszystkie kobiety w wieku lat 18-u. Czas trwania służby wynosi półtora roku, z czego pół roku poświęcone jest wychowaniu fizycznemu i przygotowaniu fachowemu do rodzaju służby, którą mają następnie pełnić przez rok. Praca winna być tak skalkulowana, by była dla państwa ekwiwalentem kosztów utrzymania, wyekwipowania i wyszkolenia dziewcząt.

Zwolnienia spowodowane są przez: 1) niezdolność fizyczną, 2) macierzyństwo. Odroczenia spowodowane są przez: 1) pracę zarobkową, niezbędną dla utrzymania rodziny, 2) nieskończone wykształcenie w zakresie szkoły średniej lub zawodowej. Organizacją, wyszkoleniem i administracją kieruje „Urząd Obywatelskiej Służby Kobiet“. Wewnętrzna organizacja służby oparta jest na podziale administracyjnym państwa“.

Na marginesie projektu organizacji moglibyśmy zapisać następujące uwagi: skrócenie czasu służby do jednego roku, przy czem czas służby powinien obejmować t. zw. rok szkolny, ażeby po odsłużeniu roku młodzież nie traciła terminów wpisów do wyższych uczelni i szkół zawodowych.

Projekt wyszczególnia dalej dziedziny pracy:

„Przy zainteresowanych organach państwowych i organach samorządowych istnieje referat służby obywatelskiej pracy kobiet, który opracowuje ściśle plan pracy oraz zgłasza zapotrzebowania odnośnych terenów przy ścisłym i bezpośrednim kontakcie z miejscowymi stowarzyszeniami społecznymi. Projektowane dziedziny pracy: 1) Opieka społeczna. 2) Zdrowie publiczne. 3) Praca oświatowo-kulturalna. 4) Przystosowanie kobiet do obrony kraju“.

Jak widzimy, dziedziny pracy obejmują całość życia społecznego, przy czem każda dziedzina ma szeroki zakres pracy, będzie się rozgałęziać i dostosowywać do potrzeb terenu. Nie będzie to więc praca martwa i schematyczna, ale wedle potrzeby indywidualizowana.

Projekt powszechnej służby obywatelskiej kobiet przewiduje stopniowe realizowanie służby. Najpierw akcja przygotowawcza, odbywająca się z pomocą propagandy i zasięgania opinii publicznej, następnie etap próbny drogą eksperymentalnej służby ochotniczej w t. zw. wzorówkach. W tym etapie nabyte doświadczenia pozwolą przystosować służbę do realnych potrzeb i przez to uchronią od popełniania błędów na przyszłość. Wreszcie po takim, rzec można, rozważnym i ostrożnym przygotowaniu, sprawa, jako dojrzała, stanie się tematem dyskusji sejmowej i drogą ustawy sejmowej będzie wprowadzona w życie.

Niewątpliwie powszechna służba obywatelska kobiet nie jest łatwa do zrealizowania. Nietylko bowiem sprawa ofiarowania roku, czy nawet półtora roku na służbę powszechną jest pewnym wysiłkiem i wymaga uświadomionego poczucia obowiązków obywatelskich. Trudne będzie również obciążenie państwa wydatkiem na utrzymanie tych licznych zastępów młodzieży, pełniących służbę. Niemniej też pełnienie bezinteresownej pracy obywatelskiej może w tej chwili kolidować z bezrobociem inteligencji umysłowej. Przy dokładniejszym zastanowieniu się, dojdziemy jednak do przekonania, że trudności są raczej chwilowe, przejściowe, a rezultaty uspołecznienia kobiet będą trwałą podstawą ideowej pracy dla powszechnego dobra.

Herminja Naglerowa.

REGINA ZIENKIEWICZOWA

JASKÓŁKA

(Z cyklu „Promienne“)

Jaskółki uwiły gniazdko na naszym balkoniku. Nie wiem, skąd przyleciały całą chmurą, ale widzę je codziennie, nietylko nasze, poniekąd domowe, ale i sąsiedzkie, i zupełnie obce, przelatujące tam i z powrotem nad placem, gdzie w zeszłym roku poczęto budować gmach szkoły powszechnej i porzucono, nie wznawiając robót, aż ptaki się temu dziwią, które przecie widziały i zamorskie dziwy...

Jaskółki — jaskółki...

Najwięcej ze wszystkich ptaków lubię te małe podróźniczki. A lubię je także dlatego, że imię ich przybrała nieznana przyjaciółka moich dziecięcych lat, przyjaciółka nie wyłącznie moja, ale ukochana przez wiele młodych dusz, któremi rządziła z prześlitym mądrym despotyzmem.

Kto z nas, czytelników i przyjaciółek niezapomnianych „Wieczorów Rodzinnych“, nie pamięta „Skrzynki do listów“, gdzie ktoś kochany odpowiadał na nasze listowne wynurzenia. Były to zrazu dwie siostry: Gołąbka, starsza, poważna i poważana, słodka doradczyni i zaufana powiernica, oraz Jaskółka, wesoly trzpiot, debiutujący w roli poważnej korespondentki i zdradzający się, niby przypadkiem, że jest uczennicą 5 klasy (wówczas przedostatniej) jednej z pensyj warszawskich. Szukajcie mnie między sobą, nie mogę wam powiedzieć, gdzie jestem, ale wiem, że przynajmniej starszki mnie odnajdą.

Ile to było domysłów, dopytywań, bo posadzeń być nie mogło. Jakże w najmądrzejszej koleżance możnaby się dopatrzeć podobieństwa z prawdziwą Jaskółką. To wogóle dziw, że taka mądra, a jest piątoklasistką. Któraż mogłaby w paru zdaniach ująć, zawstydzić, ucieszyć i rozkrochmalić nieufną, obcą dziewczynkę?!

— Dopisek Twój (nie wymawiając, dłuższy od listu) bardzo mnie przeraził, żywe Srebro. Znajomość ze mną zaczynasz od pogróżki?! Prawdziwe z ciebie żywe srebro.

To się umie na pamięć po tylu, tylu latach. Pisałam do Gołąbki, zwierając się jej, że bardzo ją kocham, ale Jaskółki to wcale nie. I nigdy jej lubić nie będę, żeby tam nie wiem co! Musi być niedobra, nie ma serca, a język długi, aż strach. I Gołąbka zdradziła moją tajemnicę. W „Skrzynce do listów“ znalazłam nieoczekiwanie powyższą odpowiedź. Doskonale pamiętam, jak to było: poszłyśmy na lekcję muzyki do Cioci Czesi, bo nasz fortepian został na wsi. Moja siostra, Biała Lilijka, odgrywała z przejęciem, co miała zadane, a ja, która nie znosiłam tych lekcji, usiadłam w oczekiwaniu swej kolei za fortepianem, szczęśliwa, że chociaż „Wieczory“ mam na

własność na te pół godziny! I nagle, świat zawirował przedemną. List do mnie! Udałam potem przed Białą Lilijką, że nie widziałam nic, ale korciło mnie strasznie, że z właściwą sobie systematycznością odczytuje wszystko pokolei. Aż nareszcie doczytała.

— No, no — starała się zbagatelizować to epokowe wydarzenie. — No, no...

— Co mówisz? — zapytałam niby obojętnie, ale cała dusza roześmiała się ze szczęścia.

— Niby nie wiesz, nie udawaj — odcięła — no, ten list od Jaskółki.

— Od Jaskółki? gdzie? pokaż!

Ale siostra знаła mnie zbyt dobrze.

— Widziałaś już — i obojętnie zaczęła czytać dalej.

Tak się zaczęła moja przyjaźń z Jaskółką i zrozumiałam wkrótce, że moja Lilijka więcej odpowiada Gołąbce, a mnie pociągała prawie pewno, że moja redakcyjna korespondentka jest też cokolwiek... żywym srebrem. Nigdybym nie ośmieliła się jej o tem powiedzieć, ale w głębi ducha... Chwile wolne od zajęć, a tych było nie tak znów mało, bo oprócz własnych lekcji, spacerów i obowiązkowego zgłębiania arkanów gospodarstwa domowego, co się najprędzej kończyło, gdyż nasza gospodyni nie lubiła, gdy jej kto krupy liczy i co najwyżej pozwoliła nam patrzeć, jak kucharka zgarnia kożuszki na małych kamienkach, by te kożuszki były grube i smaczne.

Kiedyś, w Głównie stała się rzecz straszna. Pan Stanisław, pomocnik gospodarzy Dziadziusia, kazał oczyścić gołębnik z wróblích gniazd, ponieważ głowińskie wróble miały takie same komunistyczne poglądy, jak nasze praskie jaskółki. Była to wiosna. W gniazdach pełno nieopierzonego wróblego drobiazgu. Po drabinie wszedł ogrodniczek i zaczął wyrzucać gniazda wraz z pisklętami. Nieopisany, rozpaczliwy lament wróblowy zwabił nas z parowu, gdzie z ilu i mady wiślanej budowaliśmy wigwam Dżibenensacha — Ducha Puszczy (budowaliśmy, ponieważ byli tam mój braciszek Olek, i nasi uczniowie). Rozpacz nasza nie miała granic! Prosiłyśmy pana Stanisława, jak kogo dobrego, aby kazał gniazda z pisklętami włożyć napowrót do gołębnika, ale on rozgniewał się na nas, bo my nie kochamy Dziadziusia, dla nas miłsze wróble, niż Dziadziusiowa pszenica; wróble zjedzą pszenicę i Dziadzius nie będzie miał za co pojechać do Karlsbadu, wszystko przez swoje dobre wnuczki.

Płakałyśmy solidarnie, same chciałyśmy wprowadzić zpowrotem eksmitowane rodziny, ale pan Sta-

niślaw przypilnował, by po eksmisji ogrodniczek zabrał drabinę i nasze dobre chęci poszły, jak wszelkie inne, na bruk piekielny. Więc tym razem do Gołębki! Poproś protokół! Tak i tak: pan Stanisław... bezdomne, osierocone wróble, bo kociska pożarły pisklęta (choć Kostka zaklinała się, aby nas pocieszyć, że widziała na własne oczy, jak Pan Jezus przystawił drabinę aż do nieba i wszystkie ptaszki weszły po niej do raju i mają śliczne piórka i są rajskimi ptaszkami), i czy Dziadziś naprawdę nie miałby się za co leczyć, bo niedobre wnuczki spały wróblami jego wąsatą sandomierkę?

Odpowiedź przyszła w następnym numerze, o boskiem prawie dla ptaków, co ani orzą, ani sieją i o brzydkim okrutniku, którego Gołębka nienawidzi za brak serca. Wreszcie uszanowanie dla Dziadziusia (miał wówczas 55 lat!) sędziwego i życzenia zdrowia, wraz z nadzieją, że jednak naznaczona kuracja da się uskuteczyć. Boże, jaki to był straszny dzień w Głównie, daleko straszniejszy, niż rzeź niewiniątek. Pan Stanisław desperował, że go po gazetach szkalują, przecież każdy wie, jakie to są szkodniki te wróble, że każdy porządny gospodarz stawia strachy na wróble, a jego, pana Stanisława, za jego pieczołowitość na taki wstyd narażono! Dziadziś się nie pogniewał ani na nas, ani na pana Stanisława, choć ktoś musiał chyba nie mieć racji, rozżalonego młodzieńca pocieszył, że nazwisko jego nie było podane, ale jeśli chce, to może skarżyć do sądu osoby, które go niesprawiedliwie (o, Dziadziśiu!) obmówiły. Zarumienił się pan Stanisław, jak burak, a myśmy zrozumiały, że choć Dziadziś żartuje, nie rad jest, że cokolwiek wychodzi ze spraw domowych poza obręb Główny. Myślę jednak, że pan Stanisław, znany okrutnik (utopił nam w Wiśle, związawszy mu poprzednio nogi szpagatem, biednego kota Bielasa) zastanowił się nieraz w życiu nad listem Gołębki, i niebardzo miłe przeżycie tamtych dni powstrzymało go od dalszego okrucieństwa.

„Wieczory“ urządziły szereg konkursów z nagrodami. Biedne, odleżałe w składach księgarskich tanie książeczki, były jednak czemś niezmiernie cennym dla nas, ponieważ pochodziły z naszej wyśnionej krainy, ponieważ dotykały ich ręce Jaskółki i Gołębki. Celem konkursów dla dziewcząt było zgromadzenie jaknajwiększej ilości odzieży dla biednej dziewczyny warszawskiej, dla dzieci więźniów politycznych w pierwszym rządzie. Szyło się te proste sukienki, najczęściej z ciepłego barchanu, z namaszczeniem i powagą. Gdy się robota skończyła, smutno było, że nie zadają nowej. Ani się przeczuwało wówczas, że zacne kierowniczkę „Wieczorów“, w najtrudniejszych chwilach mrozu i nędzy takim sposobem gromadziły choć drobną część ciepłej odzieży dla najbiedniejszych. Nie mogły „Wieczory“ zdradzać tajemnicy tej zorganizowanej pomocy siostrzanej, bo skończyłoby się to źle dla redakcji i czytelników, gdyż pismo byłoby cory-

chlej zawieszono przez wrogi rząd. Tajemnica wykryła się później, gdy wszystkie Promyki Słońca, Przepiórki, Trzpiotki z nad Płonki, Białe Lilijki i Żywe Srebra poszły w świat i same stanęły do pracy społecznej. Wówczas zrozumiano drogi, prowadzące do ogólnego celu. Cel był jasny, lecz trzeba było doń zmierzać drogami okrężnymi, aby zatrzeć ślady i nie narazić się na pościg wroga.

Za wiele, widocznie, osób pragnęło korespondować przez „Wieczory“ z Gołębką i Jaskółką, skoro jeden z numerów przyniósł wiadomość podpisaną przez Jaskółkę, że Gołębka wyszła zamaż i nowe jej warunki domowe nie pozwolą jej tak wiele czasu poświęcać „Wieczorom“, wobec czego korespondować będzie z czytelnikami jedynie Jaskółka. Pamiętam, napisałam wówczas moc niepochebnych epitetów dla dzikiego Jastrzębia, co śmiało zabrać nam Gołębkę, ale to nie zmieniło w niczem jej postanowienia. Z Jaskółką stosunki stały się odtąd jeszcze bliższe.

Chciałoby się wszystkie czary Główny, jej konwalje, akacje, tulipany, narcyzy, żonkile, peonie, a zwłaszcza przepyszne róże, a wiosną fiołki i stokrotki przesłać Jaskółce na pociechę, że nie może być z nami. Irytowała się nasza nauczycielka, gdyśmy ją obarczyły dostarczeniem do „Wieczorów“ koszyczka fiołków. Miałyśmy do niej żal nieskończony, gdy przyznała się, że nasze fiołki oddała swoim krewnym, a dla „Wieczorów“ odkupiła świeże, gdy miała czas iść na Mazowiecką. Mówiła nam, widząc nasze rozczarowanie, że wszyscy na tem lepiej wyszli, bo „Wieczory“ otrzymały kwiaty zupełnie świeże, a nasze fiołki, jakoby zwiędły w drodze. Było nam tem przykrej, że Jaskółka, dziękując nam za kwiaty napisała, że wniosły do jej pokoju potęgę wiosny i powiew wiosennego wiatru, czego nie mogłyby uczynić kwiaty, kupione w mieście. Wydawało się nam to kłamstwem z naszej strony, że nie prostujemy faktu, ale bałyśmy się urazić Jaskółkę stwierdzeniem jej naiwności. Była tak przecie przez nas kochana, że śliczna i młoda, zaprzyjaźniona z nami ciocia Czesia, dwukrotnie nam robiła przyjemną niespodziankę, kupując broszeczki jaskółki. Jedne były srebrne, pozłacane z emaljowanymi jaskółkami. Jeszcze piękniejsze były przywiezione z Florencji jaskółki, wysadzone turkusikami z rubinowemi oczkami.

Przeszły lata. Niejednokrotnie chciałoby się mieć taką cierpliwą powiernicę, jak Jaskółka. Zazdrościłam młodemu dziewczętom epoki porewolucyjnej, że mogą skupiać się, radzić o swojej doli, podczas gdy ja, żyjąc w epoce przejściowej, nie miałam żadnych plusów dawnych, ani nowych dni. Wiedziałam, że zwłaszcza pani Zofja Bukowiecka pracuje nad młodzieżą żeńską, zachęcając ją do samodzielnej pracy zarobkowej. Czemu urodziłam się zawczasie, czy zapóźno... Pozostawała mi tylko z Główny, pomimo wszystko, wyniesiona, przez Jaskółkę podtrzymana zasada, aby

dzielić się swojemi wiadomościami i umiejętnościami z mniej uprzywilejowanymi warstwami. Pracowałam wtedy w czytelnicy. Organizując dział czytelnictwa dziecięcego, sprowadziłam przede wszystkim „Wieczory”. Jaskółka pisywała tam jeszcze, mianując się starym ptakiem. Nie mogłam opanować chęci napisania do niej raz jeszcze. Napisałam między innymi rzeczami o „Wieczorach”, że nie są takie, jak dawniej. Odpisała mi w dawny sposób w Skrzynce, że „Wieczory” się nie zmieniły, ale ja się zmieniłam i że trudno spodziewać się od dorosłego tej samej wrażliwości, jaką ma dziecko. To była ostatnia nasza rozmowa listowna.

Aż, kiedyś, niespodziewanie, dowiedziałam się, gdy już nie myślałam o Jaskółce, że była nią nieodżałowana autorka i pracownica społeczna, pani Zofja Bukowiecka. Była i Jaskółką i Gołąbką, a tak umiała dopasować się do tej trudnej, podwójnej roli. że nawet przez myśl nie przeszło wrażliwym umysłem dziecięcym, że dwie siostry, tak się z sobą różniące, są jedną i tą samą osobą.

Zofji Bukowieckiej, tej wielkiej, hartownej obywatelce, która umierając mówiła jeszcze, że nie zasłużyła na szczęście doczekania odrodzonej Polski -- niewątpliwie zostanie poświęcona niejedna piękna kar-

ta. Zanim ją otrzymamy, niech wiatr niemojej już dzisiaj Główny przyniesie wspomnienie o jej bezimiennej pracy nad najmłodszym wówczas pokoleniem, któremu mogąc być babunią, była powiernicą i przyjaciółką serdeczną, i czuwała wiernie nad dobrowolnie przyjętymi na siebie obowiązkami, ucząc poezji czynu.

Bo być poetką, to niekoniecznie,
Układać myśli w udatne wiersze,
Poezja *czynu* żyje w nas wiecznie
I od pisanej pole ma szersze...

Takie nam dawała drogowskazy inna poetka na łamach „Wieczorów”. Tak do nas mówiła zawsze Jaskółka, nie zachęcając nas bynajmniej do używania mowy wiązanej. Ileż razy czytało się w jej odpowiedziach: „Proza twoja daleko lepsza od wierszy”, gdy ktoś z jej korespondentek zapragnął uczcić ją rymami.

Tyle lat... Dawno już stary ptak leży w wolnej ziemi rodzinnej, śpiąc wiekuistym snem. Ale co wiosna, gdy przylecą zza mórza jaskółki, w marzeniach naszych, we wspomnieniach naszych powracają!...

LUCYNA KRZEMIENIECKA

U NAS

*U nas nie rosną cyprysy,
u nas jest wszystko inaczej. .
W małym kościółku, w niszy
kobięcina płacze.*

*Przyniosła bukiet listeczków,
kupionych za parę groszy —
na swe pomszednie smuteczki
zmiłowania prosi.*

*A przy niej klęczy córeczka,
o chudych kolankach Jagusia,
modli się, wielce zdziwiona,
o zbanienie duszy.*



J. KWIECIŃSKA-KORCZAKOWSKA.

OSTATNIA PARTJA

Bob na jeden moment przyłgął do ziemi dziwnym skrzętem ciała i bohaterskim wysiłkiem podjął „szczura“. Biała kulka wzbija się na ułamek sekundy w górę, splaszczyla się na rakiemie Freda i pacnęła rozkosznym fałszem w sznurki siatki.

— Brawo! Śliczny „set-ball“!

Bob poważnie (aby nie okazać niekłamanej radości) obtarł rękę o chusteczkę ze szlakiem i zroszone czoło pochylił w ukłonie przed partnerką. Krysia kiwnęła burą główką.

— Było wspaniale, Bob, wygraliśmy nareszcie!

Fred siedział już na ławce, „nerwowo“ zapalając papierosa. Poskładali uważnie wymęczone rakiety. Milczeli kłopotliwie.

Pachniało jesienią. Słońce nastrzępiło suto złotych plam na szarą tacę placu. Wiatr znosił niestrudzenie coraz nowe zapachy: wyschłych wrzosów, dojrzających śliw, grzybnej ziemi. Ale wystarczyło tylko przymknąć oczy, żeby zobaczyć jasną lampę miejskich wieczorów, nowe ciekawe książki, nienaruszone arkusze zeszytów. Czuło się to bliskie, nieuniknione: powrót. Ale tymczasem jeszcze na zielonej misie podawały wakacje niewykończone rozkosze lata: gałęzie ciężkie od owoców, kosze grzybów, rumieńce jabłek, zapachy ściernisk — urodę jesieni, uśmiechniętą w koronie barwnych liści wina.

— To już ostatnia partja dzisiaj — westchnęła Krysia. (Młody, zdrowy człowiek, długo żyjący z przyrodą, nie od razu zdobywa się na pogardliwy uśmiech pożegnania; ze smutkiem opuszcza świat ziemi, słońca, wiatru, aby przestąpić próg różnorodnych przymusów).

— Wszystko teraz... ostatnie — dodał melancholijnie Bob: — krokiet, spacer, tenis. Jutro już jedzie Fred, potem ja.

— Trudno rozstać się ze wsią — rozżaliła się dziewczynka, ukośnem, nieodpowiedzialnem spojrzeniem obejmując czarną głowę Freda.

— Wieś, to jeszcze nic... — wyrwało się Bobowi. Wstydliwym, szybkim ruchem przyglądał jasną czuprynę i upadł spojrzeniem aż do stóp Krysi, opiętych w białe „pepegowce“.

Fred przerwał milczenie chrząknięciem (krztusił się dymem).

— Rzeczywiście, wieś, to głupstwo. Mężczyzna ma tysiąc ważniejszych spraw i przykrości. — Powiedział to ważnie, ponuro. Ogarek papierosa starannie przydeptał na piasku.

Krysia zupełnie nie wie, właśnie teraz, przy końcu wakacyj, kogo woli. Fred starszy, pali (pokryjmu) papierosy, jeździ konno, mówi uroczyście i jest

silny. Bob ma piękne oczy, pływa i wygrał decydującą, „honorową“ partję.

Fred myśli posępnie: trzeba z tym smarkaczem skończyć. Nie dla samej Krysi, ale chociażby na złość. Bob zostanie jeszcze tydzień — wtedy napewno się „zaręczą“. Te dziewczyny zawsze niepewne i niewyraźnie. Ale ja go nauczę. Jeszcze dziś. Smarkacz. Głupiec.

— No, to chodźmy na podwieczorek — zakończyła niespodziewanie Krysia.

Na stoliku uśmiechały się z talerzy wiśnie. Gosposia krajała lepki miąższ razowego chleba. W miodzie zalśniło najczystsze słońce. Fred daleko, pogardliwie wypluwał pestki, nie przestając chmurzyć szerokich brwi.

* * *

Bob pamięta świetnie: życie poprzednich lat upływa w zielonej leśniczówce ojca i pachnie wtedy sosną i dębem liśćmi, albo we wspaniałym ogrodzie Lipówki (wtedy pachną kwiaty, owoce i uśmiech maleńkiej Krysi). Na zielonem suknie łąk zrywają naręcza ziół, na niebieską emalję rzeki rzucają wieńce wonnej macierzanki (wędrujące w krainę marzeń). Piją haustami jasne powietrze lata, chowają się w kominowych zaciszach pokoi przed mroźnym oddechem zimy. Życie jest spokojne, jasne, bez wymiarów; kołysze, czeka, zachwyca aż do ekstazy.

Potem przybiera tęsknoty i formy:

— Będę miał las większy i ogród większy, niż mają ojciec mój i twój wuj Oleś. I wtedy, Krysiu, zostaniesz moją żoną.

Spojrzała na niego nieufnie. Bił się zapamiętałe w piersi, opięte skautowską bluzą.

— Jestem silnym mężczyzną. I wszystko potrafię zdobyć dla ukochanej kobiety!

Gałązki w altanie szemrały cichutko.

— Krysiu, nie się nie bój, tylko na całe życie mnie zaufaj!

— I będziemy mieli takie królestwo, jak opowiadałeś?

— Tak, Kryś!

— I takie skarby, jak w tej bajce, co czytałeś?

— Tak!

— No, to dobrze już, Bob.

Pomroka starej alei lipowej pochłonęła ich drobne sylwetki.

Świat poddał się władczej dłoni marzycielskiego chłopca.

Ale potem było znacznie trudniej. Do życia, na szeroki gościniec prowadzą stopnie — klasa, matura, uniwersytet, praktyka, pieniądze — oh, nieskończo-

ność! Tymczasem Krysia — maleńka, drobna, złotowłosa Krysia — zmienia się. Najwięcej tych ostatnich wakacyj: włosy obcięte, ciało wybujałe w nowe, onieśmielające formy. Oczy jeszcze te same, jasne i wierne, ale usta kapryśne, cedzące poważne, dziwne słowa. No tak, „Panna Krysia“. No i ten nowy gość w Lipówce. Kuzynek Fred. Starszy, ładniejszy, silny. Od razu czuło się, że coś z tego wyniknie. (Awantura). I coraz wyraźniej, jak na złość, rozsadza piersi uczucie dla Krysi. Trzeba nagwałt zostać tym agronomem, inżynierem (kiedyż?), żeby Fred przestał nareszcie mówić, uśmiechnięty:

— Będę kapitanem okrętu (w białej czapce) i zawiozę cię za ocean do kraju słoni, poplątanych ljanami.

Jak żal, jak strasznie żal, że Krysia nie kocha już tak bardzo lasu, i kwiatów, i pól! Pachnie jej słona tęsknota za niebiesko-zieloną podróżą w morza.

* * *

Idą we dwóch bez celu, w las, w łąkę. Mrok chciwie wsysa resztki światła jesiennego dnia. W pobliżu rzeki Fred zaczyna ostro:

— Ostatni raz proponuję ci ustąpić!

— Przecież wygrałem partję tenisa! Jesteś niesprawiedliwy! Czyż nie pamiętasz naszej umowy? Na słowo honoru obiecałeś, jeśli wygram, nie wtrącać się do Krysi...

— To nie była gra! To był ordynarny fuks! I wszystko jedno, nie ustąpię, rozumiesz, smarkaczu?! Krysia podoba mi się i basta! Zabiorę ją na morze na własnym okręcie!...

— Nie zabierzesz! My się kochamy... i nawet wuj Oleś zawsze mówił, że gdy będę dorosły... Tak. Ona jest właściwie moją narzeczoną.

— Czyją?! — oczy Freda błyszczą gniewnie. Bije przydrożne kwiaty prętem z zapamiętaniem, z furją. Jest nieprzytomny ze złości, z zazdrości.

Trzeba przejść wąską kładkę przez rzekę.

Fred drży. Na środku jedno mocne, gwałtowne pchnięcie. Z krzykiem i głośnym pluśnięciem spadają obaj w wodę. Gościnnie rozstępuje się srebrno-czarna polewa rzeki.

* * *

Ciemno już było, gdy Bob dociągnął do Lipówki nieprzytomnego kolegę.

— Boże mój! — rzuciła się ku nim przerażona gospośnia.

Wuj Oleś szybko zabrał się do cucenia. Krysia przybiegła z piętra. Patrzy błada, nieruchoma, zdumiona.

* * *

Bob leży pod niebieską kołdrą, kaszlący, błądy i szczęśliwy. Krysia chodzi płaczliwa i przynosi mu ciągle świeże kwiaty (życie jest romantyczne, bohaterskie!).

— Jesteś najlepszym z przyjaciół, najdzielniejszym z mężczyzn — powiedział Fred, gdy wychlustali z niego wodę.

Bob (zazębiony) opowiada z przejęciem od początku:

— Złakłem się okropnie, ale umiem pływać, a przecież tam nie było dna i ty nie potrafisz... więc gdy wpadliśmy niechący...

(Nie mówi: „gdy wrzuciłeś mnie, ty nikczemny lotrze“, tylko: „gdy wpadliśmy niechący“). I wszyscy tak myślą. Tylko oni dwaj wiedzą, a Krysia domyśla się i uwielbia Boba-bohatera!

— Jakto, i tyś mnie wyratował? — chłoszcze się ciąglą pokorą Fred. Wygasły w czarnych jego oczach iskry zawiści. Czai się w nich wstyd. Razem z Krysią czeka na wyzdrowienie przyjaciela. Dobrze, że niedługo trwa choroba, bo sytuacja jest rzewna nie do zniesienia i przy wszystkich nie można z Bobem pomówić od serca.

Dopiero w pociągu, gdy we dwóch zajmują przedział, a na peronie znikają sylwetki wuja i Krysi... Jakoś w parę minut, trochę bez sensu Fred, wpatrzony w białe wieńce dymu, powiedział poważnie:

— Na morze pojedę sam, ona będzie twoją żoną. Wygrałeś z honorem ostatnią partję.

I tak kobieta „została“ aż do wakacyj.

Pociąg zgrzytem i terkotem wdziera się w świeże blizny ściernisk, w szramy lasów, żyły rzek. Daleko, daleko za sobą zostawił złotowłosą Krysię, zapłakaną nad bohaterskim Bobem i niezrozumiałą przyjaźnią mężczyzn.

A nowi przyjaciele już za pierwszą stacją wpadli w szal interesujących zagadnień: Lot awionetek? Naturalnie, że musiał zwyciężyć ten śmiałek...

Czy wolisz komunikację wodną? Łódź podwodna z radjem? Nigdy, raczej hydroplan... Gdyby tak barwny dźwiękowiec (tylko pomyśl!) umieścić na płaskich dachach nowoczesnego domu?!

Czy Chaplin ma Forda? Oh, napewno Peugeot!... Pokażę ci wspaniałą książkę... Stanowczo jestem przeciwny polityce Amannulacha!... Jeżeli odkopują galerę Kaliguli i grobowce Faraona, to potrafią także...

Ach, mężczyźni mają tyle spraw na głowie! — przypomniały się Bobowi słowa przyjaciela. Ostatni raz westchnął na konto wakacyj i Krysi i już bez roztargnienia słuchał racjonalnych wywodów Freda o pocięciu Polski kanałami, o wszech-dostępie do morza.

Na końcu dwulinijnej, stalowej drogi szyn, na ostatniej stacji, w maszynie miasta czeka świat pracy, czynu, wynalazków. Czeka nowe, szybko zmieniające formy, życie — niespokojne, rwące, silne.

Za szybkami wagonu, na pożegnanie młodym wdzięczy się uśmiechami kraśnych jarzębin przydrożnych, kłania się ciężkimi gałęziami śliw — cudna, polska jesień.

POLKA W INDJACH

Okręt „Moultan“ (w drodze do Gibraltaru).

Czerwiec 1950 r.

Najdrożsi!

Nie żałujcie mnie: jesteśmy tacy szczęśliwi! Nie wiem, czy zdołam opisać tę bajkę, którą śnimy na jawie.

Anglję opuszczałam bez żalu: czemżeż była wobec ziszczonego marzenia odjazdu do Indyj! Oddalała się zielona, osnuta mgłą, chłodna.

Okręt nasz przypomina piękną willę z włoskiej Riwiery. Jest mleczno-biały, z ponsowemi żaluzjami; nawet koła ratunkowe malowane są na kolor białoczerwony — co wygląda bardzo wesoło.

Pełno tu w każdym kącie egzotycznych roślin i wygodnych foteli trzcinowych, ustawionych w cieniu palm. Gęsto też są umieszczone olbrzymich rozmiarów wachlarze elektryczne. Tymczasem jeszcze nie waresz — są nieczynne.

Okręt nasz nazywa się „Moultan“, ma 21.000 ton pojemności. Nie wyobrażam sobie, aby nieszczęsny „Titanic“ mógł być okazalszy!

Zanim wyruszył z Londynu na pełne morze, zainstalowaliśmy się przez parę dni na nim, jak u siebie. Cóż to za przyjemność!

Mamy elegancki apartamencik z własną łazienką. Łóżka meblowe, dywany, toaleta, lustra — słowem pokój, żywcem wyjęty z jakiegoś pierwszorzędowego hotelu na Piccadilly Street.

Rozpakowaliśmy się i urządzili, jak w domu; wszak przeszło 4 tygodnie będziemy mieszkali w tej pływającej willi.

Obok kajuty mamy pokój bagażowy — w nim złożone są wszystkie nasze kufrы. Jest ich tylko 37!

Niech się Mama nie przeraża! Naszą podróż opłaca rząd brytyjski, więc pozwolono nam wziąć wszystko, co się dało.

Tak brzydko i ponuro wyglądają, podobno, te oficerskie „bungalows“ w Indjach! Nie będziemy mogli, przecież, mieszkać w pustych ścianach przez długie pięć lat! Zabrałam więc wszystkie dywany, srebra, obrazy i kryształę. Tuż pod ręką mamy również całą naszą garderobę: wyjeżdżaliśmy opatuleni w wełny i flanele, a im bliżej do równika, tem goręcej i trzeba wyciągać markizety i żorżetty.

Ach, nie mam odwagi wyznać Wam, moje drogie, ile tych szmatek letnich sobie nasprawiałam! Ale w podobną „wyprawę“ musi zaopatrzyć się każda najskromniejsza choćby, lecz „szanująca“ się pani oficerowa!

Stopa życia jest tam, na Wschodzie, daleko wyższa, pobory podwójne, gdyż trzeba utrzymać pewien prestige... a zresztą sprowadzać później z Londynu każdy drobiazg? Wiezie się więc ze sobą — na „wszelki wypadek“ — istny sklep konfekcji damskiej.

Wytargowaliśmy u władz wyższych pozwolenie na wzięcie ze sobą Bonza. Jedzie więc z nami na „Moultonie“ a nie, na żadnym tam towarowym, czy bydlęcym okręcie!

Inaczej nie miałabym chwili spokoju.

Mamo! wierzę, że pies może każdej chwili przestać żyć z powodu brocken-heart — pęknięcia serca z żalu.

Jedzie z nami i sporo przysparza nam radości,

zrozumiał przytem odrazu, że trzeba być bardzo wytwornym wśród tylu nieznanomych i wzrusza mię swem zachowaniem się bez zarzutu.

Płyniemy już od tygodnia.

Z dniem każdym robi się coraz cieplej i cieplej. Słońce świeci coraz jaskrawiej. Niebo — a więc i fale morskie stają się coraz bardziej szafirowe.

Z Gibraltaru wysłę depszę. Zatrzymamy się również w Marsylji.

Będziemy się przeciskali wąskim przesmykiem pomiędzy Korsyką i Sycylią, potem będziemy widzieli zbliżającą się Etnę na Sycylii, minimy Kretę. Wreszcie 18 godzin trwać będzie żegluga po Kanale Sueskim.

Pogodę mamy bajeczną.

Czasem jest tak cicho, iż doznaję wrażenia, że stoimy na miejscu. Już nie uczuвам najmniejszego zawrotu głowy, upijam się morskiem powietrzem i Kocham mewy, które są tu tak duże, jak bociany.

Nie mogę nastarczyć dla nich okruszków ciasta. Bonza zazdrościł im z początku: nie pozwał ich karmić swemi biszkoptami.

Teraz jest nie mniej ode mnie rozmarzony podróż — a więc przychylnie usposobiony dla wszystkich.

Ciekawi jesteście, jak tu spędzamy czas? Krótko mówiąc, doznaję wrażenia, że trafiłam na jakąś rozpląsaną wyspę, gdzie panuje ustawiczne święto. Istny stuprocentowy karnawał! szmaragdowy holy-day!!

Niema dni powszednich, żadnej pracy, ani obowiązków.

Co wieczór okręt nasz żarzy się od różnokolorowych latarń; małe, śliczne chorągiewki łopocą swawolnie na wietrze; co drugą noc mamy jakąś zaimprovizowaną maskaradę, czy bal kostjumowy; wybór „najpiękniejszej“ lub koncert-monstre przygodnych sił artystycznych.

Myślę, że pływający nasz dom wygląda zdaleka, niby tocząca się po powierzchni morza świetlista kula, a wieloryby i rekiny (jesteśmy, przecież, pośród Atlantyku) umykają, przerażone tem ludzkim szaleństwem.

Przyznam się, że narazie nastrojona byłam „na poważno“ i nieco zaniepokojona. Panicznie bałam się „morskiej“ choroby, no a gawędy na temat obecnych „niebezpiecznych“ Indyj nie należały do najweselszych. Oczekiwałam alarmujących wiadomości o powstaniu hindusów i całej tej akcji Gandhiego z solą...

Gdzież, jak nie tu, wśród ludzi udających się w „tamte strony“ powinny się rozpalać te niepokojące wieści?

Nic podobnego!

Nikt ani chce o tem słyszeć, ani myśleć, a już co do kobiet, to te zupełnie nie są au courant całej sprawy.

Jedna powiedziała mi wręcz: „ależ mnie to nie, a nie obchodzi, niech się o to kłopotuje nasz rząd! Nam zagwarantowano bezpieczeństwo, i już!“.

Przez pierwsze dwa dni chodziłam oburzona i czytałam ostentacyjnie wszystkie dzienniki od deski do deski; wyciągałam każdego na dyskusje (według mnie, Gandhi ma rację!), ale nikt ze mną nie chciał rozmawiać...

Później — sama też nie wiem kiedy — zostałam porwana w wir ogólnego szaleństwa. Ach, nie macie pojęcia, ilu tu jest ciekawych ludzi i pięknych niewiast! Są to przeważnie magnaci ze Szkocji, Irlandji, oczywiście z Ameryki, są również książęta Wschodu.

Amerikanek nie lubię: puste lale, poruszają się, jak żywe manekiny. Są takie, które nie włożyły jeszcze dwa razy tej samej sukni wieczorowej!!

Ja mogę sobie pozwolić najwyżej co trzeci dzień — na nową tualetę.

Flirt kwitnie tu na potęgę.

Kobiety, jak ćmy ku światłu, lecą do miłości. Doskonale zdają sobie sprawę, że dla *niektórych* skończą się te romanse bardzo smutnie.

John jest tego samego zdania, ale każda taka świeżo upieczona miliardka uważa sobie za punkt honoru objechać świat dokoła — i złapać, jeżeli nie męża, to przynajmniej całe mnóstwo „przygód”. Pośród angielskich i amerykańskich panuje wyraźny antagonizm.

Co dnia posuwają tu wskazówkę zegara o kilka minut. Już teraz różnica czasu angielskiego i „hinduskiego” wynosi 3 godziny — kiedy więc gong wzywa nas na ranne śniadanie, to właściwie jest godzina 6 rano... i czy można się dziwić, że jestem śpiącą?!

Każda godzina na okręcie — przynosi nową atrakcję. Rano mamy istne Lido. Na drugim pokładzie znajduje się olbrzymi basen — a więc pływanie, „plażowanie”, wspaniałe piżamy i kostjomy.

Bonzo i ja wolimy kąpiele w grzanej wodzie morskiej: ta z oceanu jest przeraźliwie zimna.

Po kąpielach rozpoczynają się sporty i cudaczne gry na trzecim pokładzie, albo „idzie się na daleki spacer”. Gdy się okrąży pokład 6 razy — ma się za sobą jedną milę ang. To zabawne.

Po podwieczorku rozpoczynają się wyścigi psów i koni. Istne Ascot, albo White City — totalizator szaleje, prawdziwi bukmacherzy wrzeszczą, jak opętani, a małe żelazne koniki i charty pędzą (przy pomocy elektryczności) co tchu. Muszę trzymać z całej siły Bonzo, gdyż wyrывa się i aż piszczy z uciechy.

Nie będę więcej grała — nie mam szczęścia do tej parodji wyścigów.

Czy chcecie, abym Wam przysłała menu pierwszego-lepszego naszego obiadu? Składa się conajmniej z 12-tu najdziwniejszych dań; na Lunch mamy 6 potraw. Pozatem lody, chłodzące napoje i rozmaite „ananasy” na zawołanie, o każdej porze: nocą, czy dniem.

Usługują „czarni”, t. j. hindusi, ubrani w białe kitle i różnokolorowe turbany. Nie zdarzyło mi się spotkać służby bardziej wykwalifikowanej, sprawnej i stale uśmiechniętej.

Jak widzicie: przepych, rozrzutność i pragnienie odurzenia się zabawami — oto atmosfera, otaczająca tych, którzy udają się na Wschód.

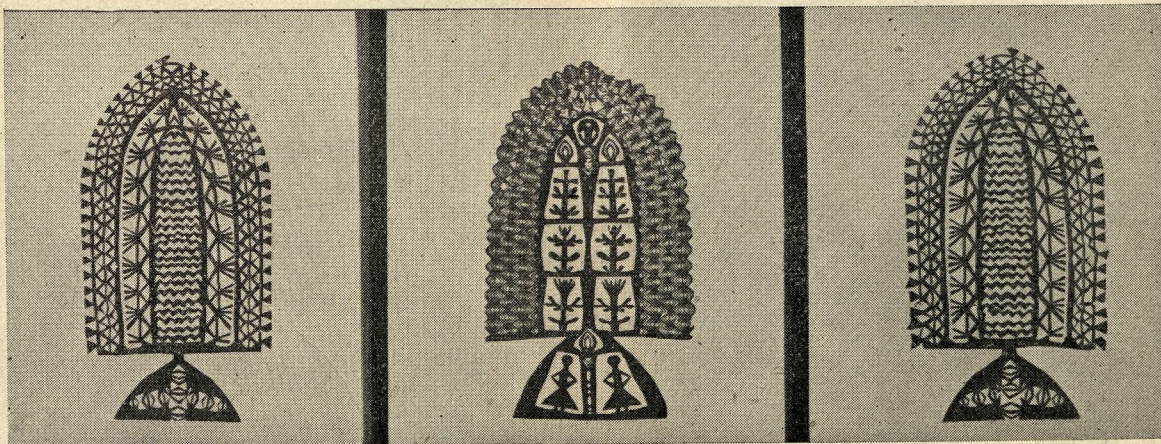
Najbardziej zaprzyjaźniliśmy się z tymi, którzy, jak my, skazani są na pięcioletni pobyt w tym Bolaram (dotychczas dobrze nie wiem, gdzie to jest — no, ale się dowiem).

Są to towarzysze naszej „niedoli” — śmiać mi się chce, gdy piszę to słowo: złotaż to będzie niedola!! Nie wierzę złowieszczym krakaniom, wierzę, że to będzie najciekawszy i najśłoneczniejszy okres naszego żywota!!

Mogę tylko się smucić, że Wy, drodzy, tego wszystkiego ani widzieć, ani słyszeć, ani zakosztować nie możecie!

Wasz obieżyświat H. S.

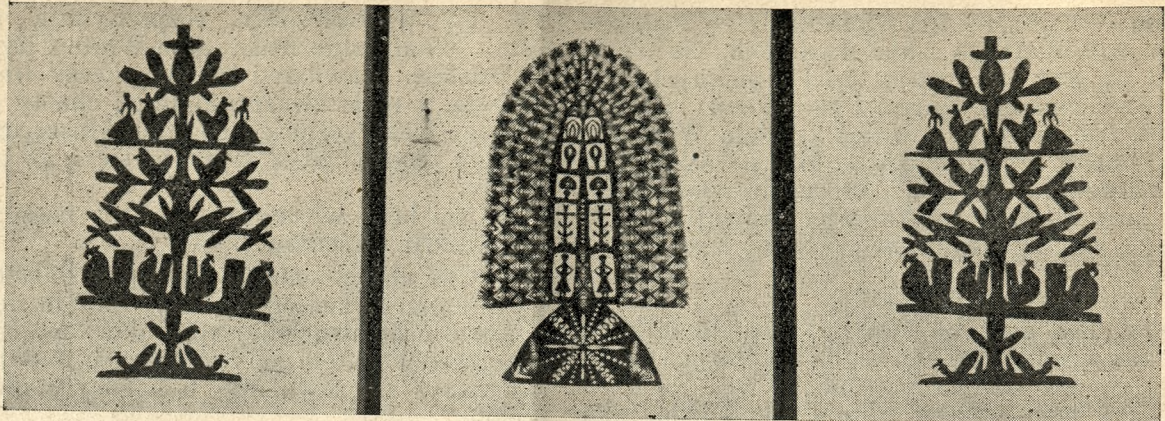
Z WYSTAW



Wycinanki kurpiowskie.

Zagadnienie sztuki ludowej jest dość złożone. Rodząc się pod przymusem codziennego życia, pod naporem każdorazowej konieczności gospodarczej czy obrzędkowej, twórczość ta, t. zw. „prymitywna”, rozwija się w granicach ciaśniejszych bez porównania z jednej, w szerszych o wiele z drugiej strony, aniżeli

sztuka w ogólności — Sztuka przez duże S. Zmuszona do poddawania się organicznym i niejako terenowym właściwościom materiału, w którym działa, naginając się do potrzeb i zadań funkcji, w których ramach się rozwija — zarazem, poprzez te właśnie narzucone sobie z góry uwarunkowania zdobywa się na jedno-



Wycinanki kurpiowskie.

litość formalną, na monumentalność uproszczeń, do których często napróżno tęskni „sztuka czysta“. Jeżeli zakres wypowiedzanych przez nią treści jest bez porównania uboższy ilościowo, oraz mniej skomplikowany, okupuje to częstokroć wielkie nasilenie wyrazu, bezpośredniość zawartości psychicznej, która wybucha tem intensywniej, w im ciśniejszym nagromadza się łożysku.

Obecna wystawa sztuki ludowej, urządzona przez Instytut Propagandy Sztuki w Kamienicy Baryczków, wypełnia przynajmniej częściowo olbrzymią lukę, jaką w naszym życiu artystycznym stanowił brak stałych przeglądów tej najbardziej tradycyjnej i pozornie niezmiennej, a przecież zawsze żywej i świeżej twórczości. Zgromadzono część zbiorów Tow. Po-

pierania Przemysłu Ludowego, pewne objekty (obrazy na szkle z Podhala i tkaniny poleskie) wypożyczono ze Zbiorów Państwowych, dopełniono drzeworytami, będącymi własnością prywatną. Wystawa wprawdzie jest niepełna nie tylko ze względu na skromne obesłanie poszczególnych dzielnic, ale także przez brak reprezentacji wogóle pewnych odcinków Polski — jak np. Łowickie, Sandomierskie. Wielkopolska i Pomorze zostały specjalnie pokrzywdzone — z tamtych stron nie pokazano nam nic. Ale dobry i ten pierwszy wyłom, ta pierwsza, udostępniona dla szerokiego społeczeństwa, wyprawa w egzotyczne kraje, w dalekie lądy...

Naogół najpełniejszy stosunkowo całokształt codziennej i „odświeżonej“ twórczości przedstawiają Kre-



Świątki beskidzkie.



Torba huculska.



J. Gessnerówna. — Staszek Mróz.

sy: Huculsczyzna, Wileńskie, Nowogródzkie, Wołyń i Polesie. Sukmany wołyńskie i maty słomiane z Wilna, „zgardy“ huculskie, wyszywane koszule chłopów zaleszczyckich — dają świadectwo swoistemu, za każdym razem całkiem świeżemu i jednoznacznie stonunkowi do świata, który się wypowiada zarówno przez rodzaj użytych elementów tematycznych, jak i — przede wszystkim — przez ich formalne ukształtowanie. Niewątpliwie, bardziej zbliżone do twórczości „czystej“ i łatwiej przez to dające się odcyfrować w artystycznym narzeczu — wydają się np. obrazy na szkłe z Podhala, względnie słynne „świętki beskidzkie“. Lecz badacz, który „wołę artystyczną“ — po większej części zresztą całkowicie nieświadomą — umie odczytywać właśnie z elementów najprostszych, niezwiązanych jeszcze w żadne kompleksy tematyczne — dowie się może równie wiele z haftu na rękawie koszuli zaleszczyckiej, haftu, świetnego zresztą przez organiczne związanie z funkcjonalnym charakterem materiału.

Jeżeli chodzi o nasze góralskie „dewocjonalja“, to poświęcano im stanowczo dotąd za mało uwagi. Są to poprostu skarby. Jakież dalekoidące wnioski nasuwają się przy oglądaniu owych cierpliwych i łagodnych świętych Pańskich, dobrodusznego Archaniola, depczącego z dziecinną powagą niegroźnego smoka (rzeźba beskidzka w drzewie), Chrystusa, otoczonego kolorowemi i wesołemi ptaszkami, albo owych Narodzin Dzieciątka, z doskonale wkomponowanemi w całość humorystycznie zadziwionemi głowami wołu i owcy (obraz na szkłe). Wogóle, stwierdzić trzeba — przynajmniej na podstawie tego, co nam tu pokazano — że obrazy podhalańskie przewyższają ogromnie analogiczne pod względem tematu małowidła religijne z Huculsczyzny. Podhalańskie,

bez porównania lepsze i bogatsze w kolorze, są przystem o wiele ciekawsze w ujęciu, częstokroć uderzają nowością i odrębnością podejścia do szablonowego tematu (np. wiszący w drugiej sali na ścianie B, bliżej drzwi, interesujący „Chrzest“ u stóp krzyża). Huculskie naogół nie wychodzą poza pewien ustalony schemat.

Wystawa obecna jest pierwszym na większą skalę występowaniem Instytutu Propagandy Sztuki. Powstał on pod hasłem szerzenia kultury artystycznej w kraju — wśród wszystkich warstw, przede wszystkim jednak na prowincji. Niema chyba człowieka w Polsce, któryby nie podpisał się pod tym programem. Przewidziane są lotne wystawy, które będą objeżdżały najbardziej „egzotyczne“ nasze zakątki; dalej — odczyty, pogadanki, wykłady. Kto wie, może doczekamy tych nieprawdopodobnych czasów, że nawet jakiś daleki Pińsk, czy Kołomyja otworzą oczy i „przejrzają“. Może naprawdę najpiękniejszy ze wszystkich światów — świat kolorów i kształtów — stanie się dostępny „urbi et orbi“? To jest zadanie Instytutu.

W Zachęcie otwarta jest obecnie wystawa pamiątkowa przedwcześnie zmarłej artystki, ś. p. Janiny Gessnerówny. Subtelne w kolorystyce, kulturalne w swej technice akwarelowej, pejzaże Jej i studia, przedstawiające kolejne fazy rozwoju malarstwa, zdradzają rzetelność włożonego w nie wysiłku twórczego i każą szczerze żałować braku kontynuacji. Dotychczasowe osiągnięcia pozwalały przypuszczać możliwość prac, stojących na poziomie zgoła niecodziennym.

l. j.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

Tadeusz Rittner: „Głupi Jakób“ — komedia w 3-ach aktach. Reżyser: Józef Slimicki; dekoracje: Wincenty Drabik.

„Głupi Jakób“ Rittnera nie był nigdy sztuką rewelacyjną i nigdy nie pretendował o — problemy, mimo, że wyszedł ze szkoły skandynawskich i niemieckich „problemowców“. Sprawa, którą możnaby nazwać tragedją prymitywnie pojętej prawdy, ma w sztuce ciasny krąg działania, nie może przeto urósć do rozmiarów zagadnień psychologicznych, czy społecznych. Jest to więc sprawa tych właśnie ludzi, których Rittner zgrupował w swojej komedji.

Sztuka stała i stoi do dziś — charakterami, typami. Dlatego też zapewne mogła do dziś zachować swoją świeżość i żywość, mogła pozostać materialem aktorskim, Interpretacja aktora może bowiem bez szkody dla intencji poety zmienić te surowo nakreślone typy i charaktery, może je po swojemu wygrać i zmusić tem samem widza do wysnuwania innych wniosków moralnych.

Niewątpliwie „czulość“, która tak znamionuje Rittnera, naświetlała ciepło i litościwie tytułową postać sztuki. I tak też zawsze pojmowano niedolę głupiego Jakóba, przeciwstawiając mu egoizm, skąpstwo, zgryźliwość, może nawet tyranję Szambelana i niemal demoniczne karjerowiczostwo Hani. W nowym ujęciu „Głupiego Jakóba“ zmieniono nieco proporcje, a raczej rozdzielono inaczej sumę czulości, oczywiście z krzywdą Jakóba. Tak jest, jakgdyby głupiego Jakóba musiała spotkać jeszcze jedna niezasklona krzywda — od nas, od widzów, skoro przestaliśmy litować się nad nim. Zniecierpliwił nas raczej swoją naiwnością. A nawet więcej: dostrzegliśmy nagle, że głupi Jakób jest również egoistą, a jego prawdomówność jest ponie-

każd dyktowana tym egoizmem. Ponadto mamy pewność, że głupi Jakób da sobie jakoś radę w życiu, że znieśie swoją tragedję, że gdzieś na innym folwarku zapracuje się, jak wół i będzie zadowolony z pracy, ze zmieniającej się przyrody, z nowej żniwiarki. A miłość? — Napewno głupi Jakób nie umrze z miłości dla Hani. Jest zdrowy, nieskomplikowany — będzie jeszcze kochał, będzie jeszcze szczęśliwy.

Punkt ciężkości przesunął się w nowej interpretacji na Szambelana, którego Frenkiel zrobił bardziej ludzkim, to znaczy bardziej nieszczęśliwym. Musieliśmy teraz myśleć o Szambelanie bardziej pragmatycznie, doszukując się przyczyn w całym biegu jego smutnego i samotnego życia. Z przyczyn tych wynika obecny charakter Szambelana: samolubstwo, złośliwość, mizantropja. Nie dziwi nas więc jego stosunek do otoczenia, bo wiemy, że samotność zmusza Szambelana do czujnej obrony przed obłudą i przed atakującą nędzą najbliższych, przed tą wieczną pożądliwością pasożytów. Musimy stwierdzić, że ten nieznośny starzec ściągnął przecież do swojego domu szwagra i siostrę, sądząc, że rodzina zapełni pustkę, że wdzięcznością ogrzeje atmosferę domu. Szambelan byłby może nasycił się wzajemnym przywiązaniem rodziny, ale szwagier próżniak, hulaka i chytrus, siostra jędza, ale właśnie oczywista nieszczerłość tych dwojga — czynią z domu Szambelana piekło.

Z tęsknoty za kimś „swoim“ Szambelan prawie uwierzył, że Jakób jest jego naturalnym synem. Łoży na jego wychowanie, bierze go do swojego domu, daje mu w zarząd gospodarstwo, usiłuje wreszcie wykrzesać z siebie uczucie ojcowskie dla tego obcego i niesympatycznego mu chłopca.

Jedynie miłość do Hani jest dowodem jaskrawego i bezwzględego egoizmu Szambelana. Mimo to rozumiemy, że namiętność jest skutkiem owych rozlicznych przyczyn, owej sumy wyrzeczeń życiowych, samotności bezradosnego wegetowania Szambelana. To nic, że Hania nigdy nie odwzajemni jego uczuć, nic, że pieniędzmi zdobył prawo posiadania. Jednostronna miłość, wartość własnego uczucia i pożądania jest przecież jedyną wygraną w jego życiu, jest jedyną i ostatnią grą o iluzję szczęścia.

Szambelan wie dobrze, jaka jest Hania, i napewno ani jej tłumaczy, ani jej wybacza — w znaczeniu wniknięcia w motywy jej postępowania, zrozumienia jej dążeń do osobistego triumfu. To my, znowu zmieniwszy nasz ongi surowy osąd, usiłujemy teraz jakoś zrozumieć ambitną dziewczynę. Wyrwana z biedy, popchnięta czyjąś litościwą ręką na wyższy szczebel społeczny, Hania nie umie już zatrzymać się w dążeniu naprzód. Zapewne — jest to tylko karierowiczostwo, ale ci, którzy ją „kształcili“, nie zajmowali się jej ętyką. Zamiast moralności rozkrzewił się w myślach i duszy tej dziewczyny — snobizm. „Chcę być panią“ — oto wszystko. I może właśnie dlatego los Hani jest najbardziej dramatyczny.

Jak zaznaczyliśmy, „Głupi Jakób“ był tym razem dziełem aktorów. Zasugerowali nas swoją interpretacją, zmusili do rewizji naszego stosunku do poszczególnych postaci utworu. Charaktery, zdawałoby się, już gotowe, przemieniły się: inni ludzie inaczej zaprezentowali swoją rację. Mieczysław Frenkiel wywalczył sympatję dla Szambelana; Górczyńska, jako Hania, umiała również wzbudzić współczucie. Natomiast sam głupi Jakób (Warnecki) musiał usunąć się w cień i być tylko epizodem w życiu Szambelana, być niemal epizodem w sztuce.

Broniszówna, Justjan, Horwathowa, Skarzyński, Neubelt i t. d. podporządkowali się dyskretnie wspaniałej grze Frenkiela.

Herminja Naglerowa

TEATR „ATENEUM“.

„Zemsta“ — komedja w 4-ech aktach Aleksandra Fredry. Reżyserja Zygmunta Chmieleńskiego. Dekoracje i kostjumy Iwona Galla.

Teatr „Ateneum“ pod nowem kierownictwem, rzecz można — sensacyjnem kierownictwem Stefana Jaracza — inauguro-

wał sezon „Zemstą“ Fredry. „Zemsta“ interesuje nas dziś, jako ujęcie teatralne, jako gra aktorów. I to właśnie było nowe i bardzo ciekawe w „Ateneum“.

„Szlagońską“ komedję zmieniono w groteskę, wydobywając w ten sposób jej swoisty humor, który już nieco porastał pleśnią. Dekoracje i kostjumy p. Iwona Galla wyrażały jakgdyby symbolikę charakterów, t. zn. „demonizowały“ potrochu Rejenta, a kolorowo „sangwinizowały“ Cześnika. Całe postawienie komedji odznaczało się uzgodnieniem artystycznych intencji i dlatego osiągnięto bardzo dobre rezultaty. Widz miał pełnię zadowolenia, bawił się, cieszył i troszeczkę jakby dziwił, że tak można i że tak właśnie jest dobrze. Więc ani przesadna stylowość, ani bogactwo karmazynu i brokateli, lecz zwyczajne płótno, pięknie barwione i podcieniowane bodajże modernistycznymi motywami.

Gra aktorów miała również na celu — modernizowanie, jednakże raczej w znaczeniu odmiennego interpretowania charakterów. Cześnik (Chmielewski) pozyskał naszą sympatję, ponieważ umiał być dobroduszny, skłonny do jowialności; a Rejent (Jaracz) był bardziej wyrazisty, manifestujący bez niedomówień swoją świętoszkowatą chytrność. Przytem obie te role nie dźwigały na sobie patosu, nie były przestylizowane, ani nie użyły historycznym realizmem. Nikt nie miał ochoty do konkluzji: — Otóż to, tacy oni byli! — Przeciwnie: bawiliśmy się urojonym wizerunkiem przeszłości, jej dowcipną i doskonale artystyczną transformacją.

P. Łuszczewski zupełnie udatnie zagrał Papkina, mimo, że skompiłował swoją rolę, sięgając po dawne wzory. Dominował jednak wpływ Solskiego. Dyndalski Daniłowicza był może nieco zanadto „truchelkowaty“. Buczyńska, jako Podstolina — uroczą, jej zalotność miła i usprawiedliwiona; raził tylko niski timbre głosu, tak bardzo nie nadającego się do świegotliwego dyskursu. Para młodych: Klara (Drabikówna) i Wacław (Dziwoński) była najmniej udana. Klara lepsza, Wacław natomiast mało przekonujący, jako — amant.

Herminja Naglerowa.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“

Johan Bojer: „Matka, która nie rodziła“ — powieść — przełożył Leo Belmont.

Kamil Lemonnier: „Gdy byłam mężczyzną“ — pamiętnik kobiecy. Powieść, przełożył Leo Belmont.

Marja Reutt: „Męczennica na tronie“ — powieść o królowej Jadwidze.

RENAISSANCE UNIVERSUM

Maciej Wierzbński: „W pogoni za niewinną“.

Leo Belmont: „Pomiędzy sądem a sumieniem“.

Eugenjusz Bielenin: „Zielona granica“.

Stefan Grabiński: „Namiętność“.

KSIEGARNIA F. HOESICKA

Aleksander Dumas (syn): „Dama kameljowa“ — dramat w 5-ciu aktach. Przełożył i wstępem opatrzył Boy-Żeleński.

Kazimierz Bujwid Wroczyński: „Podparnasie polskie“.

E. G. Piotrowski: „Kiedy zakwitną róże?“.

E. M. Schummer: „Nowa Litwa“.

„Niepodległość“ — czasopismo, poświęcone dziejom polskich walk wywoleńczych w dobie powstaniowej. Pod redakcją Leona Wasilewskiego.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

RODZINY ROBOTNIKÓW-EMIGRANTÓW NIE MOGĄ WE FRANCJI ZAROBKOWAĆ.

Syndykat emigracyjny zawiadamia, że, na zasadzie emigracyjnego prawa francuskiego, przyjeżdżać może do Francji tylko najbliższa rodzina emigrującego robotnika: żona i dzieci. Rodzina ta nie może zajmować się pracą zarobkową.

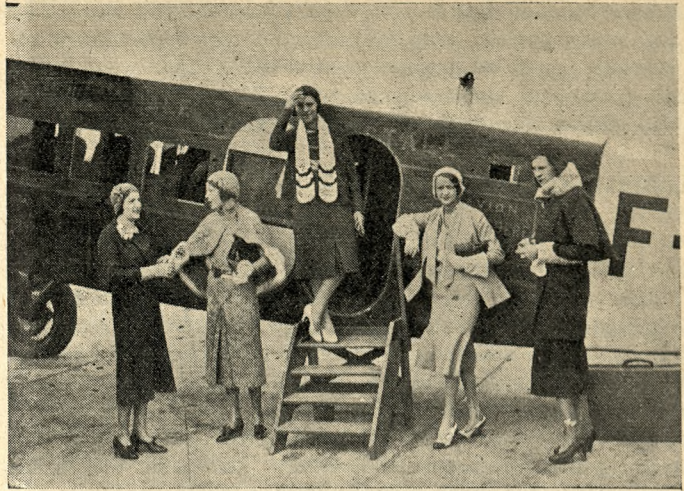
SZEŚCÍDZIESIĘCIOLECIE WIELKIEJ WYCHOWAWCZYNI.

Cały świat naukowy obchodził uroczyste sześćdziesiątą rocznicę urodzin wielkiej reformatorki wychowania, Marji Montessori. Montessori była również pionierką wyższego wykształcenia kobiet. Sama, pomimo niezliczonych przeszkód, zdobyła pozwolenie słuchania wykładów na uniwersytecie w Rzymie. Gdy nie pozwolono jej pracować w prosekutorjum, łącznie z mężczyznami, przychodziła tam sama w nocy, aby przygotować wymagane dla studentów preparaty. Wreszcie uzyskała dyplom lekarski i prawo praktykowania i zaczęła pracować w klinice chorób dziecięcych. Od tego był już tylko jeden krok do reformy wychowania, której Marja Montessori stała się inicjatorką, poznawszy duszę dziecka, jako psycholog, wychowawca i lekarz. W r. 1907 otwarty został w Rzymie pierwszy zakład wychowawczy Montessori. Dziś metoda jej święci triumfy w całym świecie.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NA ZACHODZIE I W POLSCE.

Spółdzielczość rozwinęła się w Zachodniej Europie od czasów wojny bardzo intensywnie. Dopomagają do tego, jak zwykle w poczynaniach społecznych i gospodarczych, kobiety. Utworzona przed paru laty liga kooperatystek liczy członkinie 51 krajów. Obecnie odbył się w Wiedniu wielki, międzynarodowy kongres spółdzielczy a przed nim kongres Międzynarodowej Spółdzielczej Gildji Kobiet. Każdy z krajów afiliowanych ma swoją specjalną, krajową gildję, niektóre z nich, jak np. szkocka liczą po kilkadziesiąt tysięcy członkiń. Gildje utrzymują własne sklepy, składy, jadalnie, kolonje wakacyjne na zasadach spółdzielczości, dając pracę setkom rąk kobiecych i dostarczając członkom dobrych produktów i towarów, najekonomiczniej obliczonych. Na czoło zagadnień, nad którymi obradowały kongresistki wysunęła się sprawa praw członkostwa kobiet w spółdzielniach. Część zebranych wypowiedziała się za tem, aby każdy członek rodziny miał możliwość zapisania się do spółdzielni i rozporządzania na tej zasadzie własnym głosem na zebraniach. Delegatka polska, p. Orsetti, stała na czele drugiej grupy, utrzymującej, że właściwym członkiem spółdzielni może być nie pojedynczy osobnik, ale gospodarstwo, to znaczy rodzina, tej rodzinie należy jednak przyznać dwa głosy. Cóż bowiem się dzieje, oto faktycznymi członkiniami spółdzielni są kobiety: one kupują, one dotrzymują zobowiązań, one zapisują swoich mężów, jako członków przedstawicieli rodziny i one potem... nie mają żadnego wpływu w spółdzielni, gdyż jako przedstawiciele rodziny, decyduje na zebraniach mężczyzna, nie znający wcale najczęściej spraw instytucji i nie interesujący się nimi. Sytuacja ta najostrej zarysowuje się naturalnie w państwach, gdzie kobiety nie mają pełni praw cywilnych. W rezolucji postanowiono żądać wszędzie pełnego, cywilnego, prawnopolitycznego i gospodarczego równouprawnienia.

U nas potrzeba zrzeszeń spółdzielczych też daje się żywo odczuwać, dowodem tego jest, zorganizowany w tygodniu ubiegłym Dzień Spółdzielczości. W dniu tym odbyły się w licznych stowarzyszeniach, w fabrykach, szkołach i koszarach warszawskich odczyty i akademje, poświęcone idei spółdzielczości, przedstawienia i filmy okolicznościowe. Naturalnie, że najczęściej zainteresowane w spółdzielniach są kobiety i one powinny wziąć do serca i... czynu sprawę szybszego rozwoju polskich kooperatyw.



Za chwilę polecą

PODRÓŻUJĄCA MODA.

Zawsze piękne, smukłe i urocze manekiny wielkich magazynów paryskich udały się samolotem z lotniska Le Bourget do Biarritz na pokaz mód.

NIEMKI MAJĄ NAJWIĘCEJ POSŁANEK.

Kobiety niemieckie potrafiły przy ostatnich wyborach do parlamentu dopilnować swoich spraw; wprowadzie z urn wyborczych wyszło tylko sześć posłanek więcej, niż poprzednio, ale ogólna ich liczba stanowi poważny procent, o wiele większy, niż w innych parlamentach europejskich. Ze stronnictwa Hitlera żadnej kobiety nie wybrano; nacjonałiści (Hugenberg) wybrali dwie, centrum katolickie cztery, stronnictwa: ludowe, państwowe, bawarskie, chrześcijańsko-socjalistyczne po jednej; komunistki trzynaście, socjal-demokraci szesnaście, razem trzydzieści dziewięć posłanek.

ANI GROSZA DLA KOBIET.

Żył i umarł w Nowym Yorku jeden z najbogatszych adwokatów tego miasta, pan Cing. Nicby w tem nie było nadzwyczajnego, bo i adwokatów i bogaczy sporo jest w Stanach Zjednoczonych, no i wielu z nich umiera, gdy czas przyjdzie. Więcej oryginalne było już to, że p. Cing był Sinobrodym, umarł bowiem, jako mąż siódmej z rzędu małżonki; ale i to się zdarza w Ameryce, zwłaszcza, że porównanie z Sinobrodym o tyle byłoby dla p. Cinga niesłuszne, iż żadnej ze swych żon nietylko nie uśmiercił, ale każdej z nich, po rozwodzie, płacić musiał alimenty.

One to właśnie tak rozgoryczyły milionera, że małżonce, która go przeżyła, zapisał... jednego dolara i dożywocie 80 dolarów miesięcznie; tak samo obdarzył swoje dwie córki, całą zaś resztę majątku zapisał na popieranie stowarzyszeń, zwalczających równouprawnienie, na nagrody za powieści antifeministyczne i na utworzenie wielkiej biblioteki publicznej, z warunkiem wzbronienia wstępu do niej kobietom. W przedśionku tej biblioteki stanąć ma popiersie fundatora z napisem: „Cing, wróg kobiet”.

Naturalnie pani i panny Cing chcą zwać testament, motywując jego dziwaczną treść aberacją umysłową nieboszczyka. Istotnie, jak na prawnika, biedny Cing rozumował niezbyt logicznie, wydziedziczając bowiem córki, zazaczył, że robi to w tym celu, aby, nie mając posagu, nie wyszły zamąż i nie mogły potem rozwodzić się i żądać alimentów. Otóż każdy wie, że

w Ameryce pannie bez grosza wyjść za mąż nie jest wcale trudno, a im mniej posiada osobistego majątku, tem większego, w razie rozwodu, żąda od męża zaopatrzenia. Skutek więc byłby wprost przeciwny zamierzonemu przez biednego Cinga, który miał na punkcie nienawiści do kobiet lekkiego „fiolka“.

JAK WALCZYĆ Z HANDLEM ŻYWYM TOWAREM.

W bieżącym tygodniu rozpoczęły się w Warszawie obrady ósmego Międzynarodowego Kongresu walki z handlem kobietami i dziećmi. Polska jest, niestety, prosperującym rynkiem tego potwornego przemysłu i dlatego ważny jest zjazd przedstawicielek wszystkich światowych instytucyj walki z tym handlem w Warszawie. Tematami obrad, przygotowanymi przez komisję wnioskodawczą w Genewie, będą: akcja przeciw sutenerom, repatriacja dziewcząt wywiezionych zagranicę, opieka nad podróżującymi kobietami, handel kobietami w kolonjach, wpływ kinematografów na handel żywym towarem.

EGZOTYCZNA KSIĘŻNICZKA.

Niedawno obchodzono uroczyste koronację nowego cesarza Abisynji, negusa Ras Tafarię. Obecnie na widownię wypłynęła młodziutka córka cesarza, panna Cahai Tafari, która rozpoczęła podróż po Europie, księżniczka przebywa obecnie w Lozannie, z przyjaciółką swą, córką szefa rządu abisyńskiego, i nauczycielką, szwajcarką.



Księżniczka Cahai Tafari (z lewej strony) ze swą towarzyszką



Sekunda skoku.

W PRZESTRZENI POWIETRZA I WODY.

Klub pływacki Highate w Anglii słynie z brawurowych wyczynów sportowych. Podczas ostatnich zawodów, do najciekawszych i najbardziej efektownych momentów należały skoki z trampoliny w których brały udział i kobiety.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Jak dużo może energja inicjatywy i ofiarności społecznej, mamy typowy przykład w działalności komitetu stołecznego L. O. P. P. Z ofiar i składek członkowskich, doprawdy groszowych, bo zaczynających się od 50 groszy miesięcznie, powstały w ciągu paru lat: wspaniały Instytut Aerodynamiczny, Chemiczny Instytut Badawczy, obecnie zaś wykończono budowę warsztatów sekcji lotniczej studentów Politechniki na lotnisku w Okęciu. Koszt budowy tych warsztatów wynosi 210 tysięcy złotych. Poza tem komitet wznosi wielki gmach szkoły obrony przeciwgazowej dla ludności cywilnej, do której wykończenia potrzeba jeszcze 2 miliony zł. Nad zebraniem tego funduszu pracuje energicznie Koło Pań, pod protektoratem Pani Prezydentowej Mościckiej.

W ostatnich dniach Komitet Stołeczny L. O. P. P. zainicjował nową akcję: budowę samolotu bojowego, jako odpowiedź na słynną mowę Treviranusa. Składki napływają już obficie; pierwsze ofiary na ten cel złożyły koła L. O. P. P. przy fabrykach Warsz. Sp. Akc. budowy parowozów i Tow. Sosnowieckiego fabryk rur i żelaza.

GOSPODARSTWO KOBIETY PRACUJĄCEJ ZAWODOWO

III. PROJEKT REFORMY

Mówiąc o specjalizacji pracy domowej i o wykonywaniu jej metodami społecznymi, nie można pominąć sprawy tak zwanej służby domowej. Bardzo interesująco ujął tę kwestję pionier spółdzielczości pracy, p. Jan Wolski, pisząc o „spółdzielniach pomocy domowej”. Jego zdaniem, posługiwanie się służącymi nie jest właściwym rozwiązaniem sprawy w rodzinach niezamożnych. Jest za kosztowne, niespołeczne (służąca nie ma własnego pokoju, ani kąta w domu, mieszka najczęściej w kuchni, co jest wysoce niehygieniczne).

Jako nowoczesny sposób zorganizowania pomocy domowej, p. Wolski poleca spółdzielnie pracy.

Kobiety, pragnące pewną część czasu poświęcić pracy zarobkowej w zakresie pomocy domowej zrzeszają się i zakładają spółdzielnię. Spółdzielnia posiada odkurzacze i froterki elektryczne, pasy, używane przy myciu okien i inne sprzęty i narzędzia pracy. Do spółdzielni zwracają się rodziny, którym jest potrzebna pomoc domowa w tym czy innym zakresie, i spółdzielnia wysyła im do roboty swoje członkinie. Nieraz jedna rodzina korzysta z pomocy kilku członkiń spółdzielni. Jedna sprząta i odkurza mieszkanie, druga gotuje obiady, trzecia myje podłogi, czwarta pierze i t. d. Z usług spółdzielni mogą korzystać również biura, szkoły, urzędy.

Spółdzielnia za pracę swych członkiń bierze odpowiedzialność wobec zarobkodawcy. Członkinie opłacane są przez spółdzielnię, która umawia się z zarobkodawcami o wynagrodzenie za pracę i pobiera opłaty, oczywiście umiarkowane.

System, o jakim pisze p. Wolski, z powodzeniem już jest stosowany zagranicą. Jest dość prosty, by mógł przyjąć się i u nas. Trzeba tylko dobrych organizatorów.

Równie prostą rzeczą do zrobienia na terenie nawet każdej poszczególnej rodziny jest podział pracy między domowników, członków rodziny. Należałoby zarzucić wreszcie ów system zrzucania całego ciężaru prac domowych na panią domu, matkę lub siostrę, wogóle na jedną osobę. Przynajmniej usługi osobiste, jak sprzątanie własnego pokoju, ślanie łóżka, obsłużenie się przy myciu, zwykłe naprawy odzienia, powinny być zastawione każdemu obojętnie, lub, w razie upodobań i umowy polubownej, pewne działy wspólnego gospodarstwa lub dyżury powinny obciążać poszczególnych domowników. Będzie to dyletantyzm w dalszym ciągu, lecz z zorganizowanym i sprawiedliwym podziałem pracy.

Złe wychowanie dzieci, w szczególności chłopców, jest przyczyną, iż w przeciętnym domu nietylko niema wspólpracy, lecz istnieje dezorganizacja, psująca pracę gospodyni. Nikt nie poczuwa się do ułatwienia jej zadań, lecz z czystym sercem nie spełnia nawet najprostszych przykazań osobistego ładu i porządku, pozostawia porzucone na środku mieszkania ubranie, brudną wodę na misce, niesprzątnięty talerz na stole i t. d. Celują pod tym względem mężczyźni, dorośli i najmłodsi, a winne są temu fatalne metody wychowawcze, wpajające w chłopaków przekonanie o ich niezdolności do tych poziomych zajęć domowych,

godnych conajwyżej dziewcząt. I tym sposobem rośnie w domu zarozumiały niedołęga, który „nie umie” przyszyć sobie guzika i wymaga każdej, najprostszej usługi od kobiecego otoczenia. Jedną z reform tedy, jakie należy przeprowadzić, jest — ucywilizowanie mężczyzn w domu.

Zwłaszcza dziś, gdy każda prawie przeciętna kobieta pracuje zarobkowo poza domem narówni z mężczyzną, musi się przeprowadzić równouprawnienie mężczyzny w dziedzinie, dotychczas zarezerwowanej dla geniuszu kobiecego.

Jeśli argumentuje się za powrotem kobiety wyłącznie do ogniska domowego w ten sposób, iż nie można być równocześnie gospodynią, matką i pracownicą w swoim zawodzie, to można argument ten odwrócić: odjąć kobiecie nadmierny i bezsensowny, nieprodukcyjny w obecnej dobie cywilizacyjnej ciężar prymitywnego gospodarowania, robienia tysięcy rzeczy w domu, skoro można je wyprodukować poza domem. Udoskonalic równocześnie prace domowe, powierając je — tylko najniezbędniejsze — siłom wykwalifikowanym. Mnóstwo takich uproszczeń, ułatwień, mających sens i mogących być podstawą rozległych przemysłów, powinno złożyć się na rozwiązanie kwestji gospodarstwa kobiety pracującej. Dlaczego u nas jest tak mało pod tym względem inicjatywy, trudno pojąć. Wytwórcy, kupcy, organizacje gospodyń, szerokie rzesze kobiet, prawdziwych niewolnic patelni i miotły, upośledzonych ciężko na zdrowiu, humorze i szczęściu rodzinnym, nie mówiąc już o ich zadaniach społecznych i zawodowych, wszyscy i wszystkie mają swój niewątpliwy interes w rozwoju postępu w gospodarstwie domowym.

„Musimy wprowadzić nowoczesne metody do gospodarstwa — mówi cytowana już poprzednio Alice Beal Parsons. — Musimy stworzyć kuchnie spółdzielcze i zorganizować żywienie dzieci w szkołach, nadzorowane przez lekarzy i wykwalifikowane pielęgniarki, zorganizować żłobki i gry dziecięce po godzinach szkolnych, ogrody dziecięce, zajęcia pozaszkolne.

Żona musi mieć swobodę wyboru swej pracy zarobkowej i musi być zdolna do jej wykonywania.

Gdy matka pracuje poza domem, mąż musi wykonać swoją część obowiązków domowych. Taki podział wspólnych obowiązków pozwala na swobodę naturalnego zróżnicowania w wyborze danej dziedziny pracy, odpowiadającej indywidualnie jednemu i drugiemu. Niekiedy matka lubi kosić trawniki, a ojciec woli kąpać niemowlę. Co zaś dotyczy dzieci — wspólna praca domowa ma często ten szczęśliwy skutek, że daje dzieciom oboje rodziców, zamiast tylko jednego“.

W mądrych tych słowach zawiera się obszerny program reformy nietylko gospodarstwa, ale i życia domowego i rodzinnego.

Ognisko domowe zyska na modernizacji i oczyszczeniu ze zbędnych i przykrych czynności. Stanie się bardziej idealnym czynnikiem, bardziej rodzinnym, a mniej materialistycznym. Kwestja obiadu i prania nie będzie mąciła harmonji domowej, skoro przestaną to być najważniejsze i najbardziej istotne, a przynajmy — nie zanadto idealne — cele domowego współżycia.

Czy nie warto zrobić wysiłku, by nietylko oswobodzić się z nieznośnych i w wielu wypadkach zbytecznych pęt, lecz dzięki temu zyskać jeszcze na rozległości i pogłębieniu życia domowego i rodzinnego?

Jadwiga Krawczyńska.

REORGANIZUJMY NASZE OGNISKA DOMOWE

Warszawa jest najgęściej zaludnionym miastem Europy. Na jeden kilometr kw. wypada siedem tysięcy kilkaset mieszkańców. Wszystkie duże miasta europejskie już na dziesiątki lat przed wojną wyrzucały nadmiar mieszkańców za miasto, tworząc miasta-ogrody. Same stolice skupiały reprezentacje, handel, przemysł. Wielkie miasto stawało się skupiskiem pracy i ruchu, mieszkać zaś każdy wolał za miastem, niż w jego hałaśliwym, wiecznie wzburzonym kotle.

U nas przed wojną można było wyliczyć na palcach t. zw. posiadaczy willi podmiejskich. Uchodzili za ludzi zamożnych, którzy ot, dla kaprysu, skazali na bezprocentową wegetację kilkadziesiąt tysięcy rubli. Na lotnisku mieszkało się przecież zaledwie dwa miesiące, na czas upalny wyjeżdżając z miasta, w którym mieszkać było dużo — można było zmieniać i wybierać do gustu. Któżby tam stale mieszkał pod miastem, komu chciałoby się oddalać od warsztatu pracy, od szkół, od wygody dreptania mniej więcej w tym samym miejscu, ktoby to wymienił na jakieś tam zamiejskie, samotne wegetowanie?!

Dziś stoimy wobec całkiem zmienionej rzeczywistości. Ruch budowlany mały, kapitał nie chce lokować się w mury; rzecz doniedawna najnormalniejsza — własne wygodne mieszkanie — stała się prawie nieziszczalnym marzeniem, wydatkiem kilkunasto miesięcznym, na który pozwolić sobie może stosunkowo nieliczna garsteczka szczęśliwców, lub przyciśniętych koniecznością zawodowców. Stosunki te skłoniły ludzi do przenoszenia się na stałe do wszystkich, dotąd tylko latem zaludnianych miejscowości podmiejskich, oraz do rozmyślań na temat: czy nie słuszniej byłoby wydawane na mieszkanie w cudzych murach pieniądze lokować we własny, choćby najskromniejszy dom?

Oto geneza masowego wyruszania i rozbudowywania się pod miastem. Ruch ten, godny największego przykłaśnięcia, ma swoje zdrowe podstawy i swój głęboki sens. Samo życie narzuciło nam, jako nakaz kategoryczny, dawno już zrealizowany ideał Anglika i Francuza: własny dom pod miastem! Pracować w mieście — mieszkać za miastem; zbliżyć się do przyrody, spędzić kilka godzin na swobodzie i słońcu, przespacerować noc w dobrym powietrzu szerokich przestrzeni, nie zaś w szarych kłębach kominowych i automobilowych wylęgłach wielkiego skupiska — miasta.

Nakazowi temu musiała wreszcie ulec Warszawa, będąca, jak już wspominałam, jednym z najgęściej zaludnionych miast Europy; wyległa więc rojnie po za miejskie grunta, rozrzucając wachlarzowato nowe wille, domy i domeczki w przestrzeni 30—40 kilometrów za miastem.

Niektóre z tych miejscowości liczą już dziś kilka, a nawet kilkanaście tysięcy mieszkańców; w każdym niemal większym skupisku powstały szkoły, organizacje państwowe i komunalne; rozbudowują się, choć wolno, szosy, po których krążą autobusy, auta, gdzieś niedługo pobudowano kolejki elektryczne. Słowem mocno bije tętno życia polskiego i odbiera się wrażenie, że gdybyśmy mieli większe kredyty i większe kapitały obrotowe — wyzwolone, a przyduszone dziś jeszcze energje zakapiałyby u nas olbrzymim tempem.

We wszystkich krajach istnieją oddawna towarzystwa budowlane, dostarczające mieszkań we własnym (w przyszłości) domu, według kieszeni i gustu danego osobnika, za płacony dotąd czynsz komorniany. Taki klient budowlany ani się spotrzeże, jak w lat kilka staje się właścicielem domu, czy mieszkania. Towarzystwa te prosperują świetnie, musi to więc być dobry interes, zarówno dla sprzedającego, jak i dla kupującego.

Na ten cel skupywane są ogromne przestrzenie, które zostają planowo rozparcelowane, zanim się zacznie budować logicznie z uwzględnieniem potrzeb całej, licznej w przyszłości, ludności danego skupiska.

Nasze dotychczasowe masowe rozbudowywanie się przedstawia się chaotycznie, bezplanowo; prawie wszędzie jest proste nagromadzenie domów i domków, bez uwzględnienia choćby jakiegoś prymitywnego planu, bez liczenia się z ulicą, w stosunku do której domy stoją bokiem, tyłem, profilem, zamiast być zwrócone fasadą, słowem — chaos!

Miasto-ogród — słusznie — ale i miasto-ogród musi mieć ulice, place, budynki użyteczności publicznej, rozrywkowe, szkoły i t. d.; musi zaspokoić choćby skromne potrzeby zamieszkującej go rzeszy. Tego się nie bierze pod uwagę w nowopostających osiedlach, co jest błędem zasadniczym, trudnym w przyszłości do usunięcia.

Dzisiejszy posiadacz kawałka ziemi w Śródborowie, czy Brwinowie, ani się spotrzeże, jak pochłonie go za lat kilkanaście miasto, a dzieci jego ze swej strony będą uciekać gdzieś za miasto, zbywszy korzystnie swoją parcelę. Tak, tak, bo ludność Warszawy wzrasta fantastycznie szybko, a samo miasto, jako śródeuropejskie, ma olbrzymią, nieogarnioną wprost przyszłość. Dlatego to lokata kapitału na zakup gruntu podmiejskiego nie da się pod żadnym kątem zakwestjonować. A mamy ich tyle do wyboru, od wszystkich krańców na lewym i prawym brzegu Wisły, i wzdłuż b. kolei wiedeńskiej, i od otwockich i konstancińskich lasów.

Toteż niema już prawie takiej rodziny, której ostatecznym marzeniem nie byłoby zakupienie, lub wybudowanie domu pod miastem. Naturalnie, domku z ogrodem, z własnym Burkiem i malutkim garażem, gdzie dałoby się ulokować choćby tylko... Forda. To też domy i domeczki wyrastają, jak z pod ziemi: gdy się jechało wiosną, tu i tam widniały zaledwie kupki cegły — dziś stoją już zamieszkałe budynki.

Obecny ruch budowlany ma jednak złą stronę. Ludzie naogół budują tandetnie. Ktoś, wychodząc ze słusznego zresztą założenia, żeby nie lokować pieniędzy w cudze mury, przeznacza zbyt mały kapitał na budowę domu: cienkie, lichy klecone mury, zła zaprawa, raczej piasek, niż wapno i cement; na drzwi i okna, miast budulca, używa się świeżo tartego drzewa, które wkrótce się spaczy, drzwi i okna nie będą pasowały, przepuszczając zimno i wiatr. Nie urządza się kanalizacji i wanny, pozbawiając mieszkańców elementarnych potrzeb higienicznych; słowem — powstaje budynek lichy i nierwały. Amerykanie twierdzą, że są za biedni, aby budować tandetnie. Raczej postawić tylko część domu, zależnie od posiadanego kapitału, niż nie mieć za co należycie domu wykończyć.

W obecnej chwili zagadnienie domowego ogniska nietylko nas absorbuje. Stany Zjednoczone, Anglja, Francja — państwa potężne i bogate — usiłują zwrócić uwagę szerokich mas na wielkie znaczenie

domowego ogniska w życiu społecznym. W tym celu urządzają perjodyczne wystawy, kongresy, tygodnie, obfitujące w pokazy, kursy, odczyty, przedstawienia kinematograficzne i t. p. Zainteresowanie temi imprezami dowodzi, jak zagadnienie to jest wszędzie żywotne, jak rośnie zrozumienie potrzeby reorganizacji w tej, każdego dziś obchodzącej dziedzinie.

Zarzucając dawne, kosztowne metody budowania, konstruktorzy współcześni używają, jako budulca, części żelaznych oraz gotowych płyt, belek, słupów cementowych, dzięki czemu cena materiału budowlanego, wykonywanego masowo, obniża się o 40 proc., a okres budowy — właściwie montowanie części gotowych i wykończanie domu — trwa kilka dni! Mimo takiej rekordowej szybkości, tak budowanym domom nie brak ani okiennic, ani skrzynek do kwiatów; schody, sufity, podłogi są także układane z części gotowych. Do domów tych, nowoczesnych w całym tego słowa znaczeniu, stosuje się dalsze, najnowsze zdobycze wiedzy: szyby, specjalnie preparowane, dające maximum światła, przepuszczające promienie ultra-fioletowe; obicia płócienne i papierowe, nieblaknące od słońca, których pewne gatunki można myć wodą z mydłem lub benzyną, bez obawy uszkodzenia barwy i t. p.

Taki dom, zaopatrzone we wszystkie higieniczne urządzenia i ostatnie wynalazki, jest rzeczywiście radością i wytchnieniem posiadaczy. Obyśmy jaknajprędzej zaczęli stosować ten szybki i nowoczesny rodzaj budowania!

Gdy już posiadamy dom własny, należy go ogrodzić. Z pomiędzy różnych typów ogrodzenia na pierwszy plan wysuwa się oształtowanie żelazne na cementowej podmurówce. Jest to praktyczne i eleganckie. Płot drewniany szybko się psuje i nie jest tani, gdy się weźmie pod uwagę cenę drzewa i konieczność częstego remontu.

Teren, na którym stoi dom, dzielimy na dwie zasadnicze kwatery. Przed domem ozdobny ogródek; tam siejemy kwiaty, sadzimy drzewa, obsadzamy sztachety żywopłotem, aby każdy przechodzień nie zaglądał do naszego obejścia. Na piaszczyste grunty podwarszawskie najlepiej nadają się lipy i akacje. Z krzewów — wszystkie akacje, „rosa rugosa”, krategus, grabina. Gdy odpowiednio dobierzemy sobie krzewy i drzewa, mamy od wczesnej wiosny przez całe lato jakieś rośliny kwitnące, dom nasz jest otoczony jakby wonnym bukietem.

Nie należy nigdy samemu decydować o rodzaju roślin, które mamy sadzić, niechaj nam udzieli porady dobry specjalista, stosujący się nie do upodobań i zachcianek właściciela, ale do rodzaju gleby. Cóż z tego, że posadzę sobie różnorodnie, wybrane z cennika rośliny, gdy mi one po kilkumiesięcznej lub kilkoletniej wegetacji zmarnieją?! Szkoda czasu i zachodu.

Najbardziej uroczem drzewem, nadającym się na wszystkie rodzaje ziemi, jest lipa. Mamy bardzo wiele odmian lip, a każda odmiana ma czar bezcenny: pachnie rozkosznie w czasie kwitnienia, ściągając do siebie roje pszczół dzikich i z sąsiednich pasiek, co jest wskazówką dla praktycznej pani domu: założyć własną pasiekę. Z początku jeden ul na próbę. Kto ma taki zamiar, powinien wysiać całe rabaty mieszanek specjalnie dla pszczół.

Nikt nie oprze się chęci posiadania róż: żaden kwiat nie zastąpi woni, ani piękności róży. Trochę gliny i sztucznych nawozów; na zimę okłada się krze-

wy róż nawozem krowim, a podkopawszy w korzeniu, przykrywa się ziemią. Trochę goździków stałych, maciejki, petunii, bratków, a klomby nasze, łatwe do utrzymania i niedrogie, będą cieszyły nas całe lato swą pięknnością i zapachem.

Nasturcje, nagietki i słoneczniki — kto zechce, da na front, lub przeniesie na drugą stronę domu, do warzywnika. To zależy od charakteru, w jakim chcemy utrzymać front domu. Czy klomby na trawniku, czy też jednobarwny kwietnik, jakby burza kolorów i zapachów. I to jest śliczne, i tamto urocze; ostatecznie decyduje znów specjalista-ogrodnik, który założy i rozplanuje nam ogródek, licząc się ze swojej strony z architekturą i położeniem domu.

Kto kocha kwiaty i chce mieć swój niewielki, starannie utrzymany ogródek, niechaj uprawia go sam przy pomocy domowników. Nie można wyobrazić sobie miłszego i zdrowszego zajęcia, niż sianie, pielienie, sadzenie flanców, osypywanie roślinek. Każdy członek rodziny niechaj ma swoją grządkę, niechaj dba o nią, podlewa i pielęgnuje, a nauczy się kochać i znać rośliny i dozna najszczęśliwszej radości i dumy, gdy właśnie jego grządka będzie pięknie uprawiona i obsypana kwieciami. Nic tak nie cieszy, jak owoce własnej pracy, zwłaszcza tak uroczej i radosnej pracy we własnym ogródku.

Dla ludzi, mieszkających pod miastem i pracujących w mieście, praca fizyczna przy ogrodzie i kilkogodzinne przebywanie na powietrzu i słońcu będzie niczem niezastąpioną rekompensatą za kurz, hałas i zgiełk miasta.

Nie zapomnimy, oczywiście, ozdobić domu naszego skrzyniami pelargonij, które ustawimy na tarasie, lub za oknami frontowymi.

mar.-mor.

JESIEŃ A CERA

Jesienne zagadnienie kosmetyki i higieny powinno iść w dwóch kierunkach. Pierwszym będzie doprowadzenie do stanu normalnego tego, co popsuło się przez miesiące letnie; drugim zaś — uchronienie cery od ujemnego wpływu słotnej, wietrznej i chłodnej jesieni.

Po powrocie z wywczasów letnich daje się powszechnie zauważyć buzie, opalone w różnych odzieniach. Jedne podobne są do mulatek, drugie nieco jaśniejsze, inne znów czerwone i t. d. Z początku zazwyczaj wszystkie panie są więcej lub mniej dumne ze swego wyglądu; jednakże po pewnym czasie chciałoby się wrócić, że tak się wyrażę, „do dawnego koloru“, gdyż „letnie“ zabarwienie prędko się uprzykrzy, a podrugie — co bodaj jest ważniejsze — opalenie samo przez się zaczyna stopniowo ustępować, jednakże niejednakowo we wszystkich miejscach, co, oczywiście, nie jest pożądanym.

Wybielających środków mamy w sprzedaży bardzo dużo i o każdym prawie z nich reklama głosi cuda; jednak należy być bardzo ostrożną przy wyborze, albowiem zawierają one zazwyczaj środki, silnie działające nie tylko miejscowo, ale nieraz zatrzymujące cały organizm, wskutek czego otrzymuje się podrażnienie skóry, wysypkę i t. p.

Skórę należy wybielać powoli, pilnie bacząc,

by była niezbyt wysuszona. Takim delikatnie i zarazem skutecznie działającym środkiem jest boraks, benzoos, woda utleniona, sok cytrynowy, ogórkowy, serwatka i wiele innych. Dobrze więc uczynimy, gdy po rannem i wieczornem umyciu przecierać będziemy opaloną twarz wodą dystylowaną z dodaniem boraksu w ilości 10 proc., lub też nalewki benzoosowej 15 proc.

Prof. Eichhoff zaleca wycieranie twarzy wodą kolońską, rozcieńczoną pół na pół wodą dystylowaną z dodaniem dwóboranu sody w ilości 10 proc. i sodku węglanowego w ilości 3 do 4 proc.

Prof. Gastou podaje następujący przepis tak zwanej „wody wschodniej”: „jedno kurze białko, sok z jednej cytryny, cukru 10 gramów, sublimatu 0,7 grama i wody dystylowanej 100 gramów”. Mieszaniną tą przeciera się skórę co 1—3—5 godzin, lub też rozcieńcza się ją wodą — zależnie od wrażliwości skóry.

W wypadkach łatwiejszych wystarcza nieraz stosowanie samego soku cytrynowego, lub też serwatki; jednakże spotykamy się i z wypadkami trudnemi, kiedy należy uciekać się do preparatów, działających silnie. Wówczas stosujemy takie preparaty, jakie zaleca się w leczeniu plam żółtych i piegów. Na skórę suchą przy opaleniznie zalecić można płyn ogórkowy (z mleka), lub też środek następujący: masła kakaowego i wosku białego po 5 gr., olejku z migdałów słodkich 25 gr. i soku cytrynowego 2,5 gr.

Na skórę tłustą stosuje się następujący preparat: mydła marsylskiego i miodu narboneńskiego po 4 gr., boraksu 10 gr., wody różanej i nalewki benzoosowej po 6 gr., i olejku myrrowego 2 gr. Również dobrze wybiela tłustą skórę masa perłowa, rozpuszczona w soku cytrynowym. (Można wrzucić guzik z masy perłowej do buteleczki z sokiem cytrynowym i czekać kilka dni, dopóki guzik się nie rozpuści).

Według Debay, przy opaleniznie należy postępować w sposób następujący: na noc pokryć miejsce opalone masą, utworzoną z mieszaniny wody z pudrem, o następującym składzie: świeżej żytniej mąki 50 gr., pudru ślazowego i pudru fiołkowego po 25 gr., i dekstryny 5 gr.; następnie rano umyć się i przetrzeć rozcieńczonym (w stosunku pół łyżki stołowej płynu na ćwierć szklanki wody), t. zw. „mlekiem d'Hébé”, lub też „wodą emulsyjną kosmetyczną”. Przepis na „mleko d'Hébé” jest następujący: mydła białego marsylskiego 25 gr., wody 50 gr., węglanu sodowego oczyszczonego kilka gramów; następnie po rozpuszczeniu dodaje się siarczanu magnezji taką ilość, ażeby utworzyły się grudki, które się kruszy, poczem dodaje się 90 gr. wódki o mocy 33 proc., oleju rycynowego 3 gr.; następnie należy ten płyn przefiltrować, poczem znów dodać: kwasu benzoosowego i olejku badjanowego po 1,5 gr., olejku werwenowego i karolkowego po 1,5 gr., olejku cytrynowego i olejku z białego tymianku po 0,5 gr. i nalewki toluskiej 1 gr.

Skład zaś „wody emulsyjnej” jest, jak niżej: migdałów słodkich 3,2 gr., olejku różanego i olejku pomarańczowego po 25 gr., nalewki benzoosowej 0,8 gr., i boraksu sproszkowanego 0,4 gr. Jest jeszcze mnóstwo innych pomad i płynów, lecz wystarczą już wyżej wymienione. Należy tylko umiejętnie operować danym materiałem, a rezultat leczenia będzie zadowalniający.

Co do mydeł, to dobre są mydła, zawierające w swoim składzie benzoos, lub też wyciąg ogórkowy.

Zapoznawszy szanowne czytelniczki ze środkami, stosowanymi w kosmetyce leczniczej dla usunięcia

opalenizny, muszę zwrócić uwagę, że w każdym wypadku stosowania tego lub innego środka należy zwracać baczną uwagę na stan skóry, t. j. obserwować, czy nie jest ona zbyt wysuszona, a co gorsze — podrażniona, albowiem większość preparatów, wybielających skórę, ma właściwości odłuszczeniowe. A wiemy, że zbyt sucha skóra łatwo może podlegać podrażnieniu.

O ile skóra nieco się podrażni, należy zaniechać na czas jakiś stosowania dotychczas używanych środków i przystąpić do złagodzenia skóry.

Dużą pomoc okaże tu mycie w ciepłej wodzie i stosowanie na noc jakiegoś łagodzącego kremu, np. o następującym składzie: nalewki benzoosowej i płynnego styraksu po 5 kropel; mleka migdałowego i lanoliny po 2,5 gr.; oleju wazelinowego i wazeliny po 1 gr. i nalewki kwilainowej 5 kropel. Na dzień zaś pod puder, według Martay'a, powinno się przecierać podrażnioną skórę wodą różaną z dodaniem po 1 proc. nalewki benzoosowej i myrrowej, a także 2 proc. wody różanej.

Brak miejsca, niestety, nie pozwala mi szerzej rozwinąć tematu, poruszonego w dzisiejszej pogadance; postaram się jednak w przyszłości obszerniej o nim pomówić.

Dr. med. Zofja Rostkowska.



REMONT JESIENNY KUCHNI

Z pośród wszystkich obowiązków, którym każda kobieta w rozumnej kolejności musi zadość uczynić, jeden wysuwa się na plan pierwszy: jest to troska o zdrowie naszych najbliższych.

Chcąc rodzinie zapewnić zdrowie, śledzimy i stosujemy zdobycze nowej wiedzy w dziedzinie racjonalnego odżywiania, które w ostatnich latach zrobiło w polskim społeczeństwie duże postępy.

Pamiętajmy jednak, że nie uchronią od chorób najmądrzej dobierane składniki odżywcze, jeśli produkty nie będą właściwie oczyszczone, jeśli pokarmy będą przygotowywane w niedość czystych naczyniach, niedość czystymi rękami, w niedość czystym powietrzu i *w niedość czystej kuchni*.

Poziom urządzenia naszych kuchen i metod wykonywanej w nich pracy szybko się podnosi; zbyt mało jednak zwracamy dotąd uwagi na czystość samej kuchni.

Kuchnia, malowana w dolnej części olejno, lub wyłożona kaflami, *musi* być w górnej części co rok bielona.

Kuchnie, bielone od góry do dołu, spotykane na wsi i w małych miasteczkach, tem więcej potrzebują corocznego bielenia.

W wielu kuchniach wykonywamy z konieczności roboty, nie mające nic wspólnego z odżywianiem, np. pranie, nieraz, niestety, czyszczenie obuwia i ubrania; często w kuchniach sypiają służące.

Pranie powoduje wydzielanie z brudnej bielizny wyziewów, z którymi unoszą się i osiadają na ścianach i suficie różne zarazki. To samo ma miejsce przy

czyszczeniu obuwia i ubrania. Osoba, sypiąca w kuchni i przechowująca tam swoją bieliznę i suknie, musi z natury rzeczy tę kuchnię do pewnego stopnia zakażać, tem więcej, że, z wyjątkiem 2, lub 3-letnich miesięcy, sypia zwykle przy szczelnie zamkniętym oknie. A ile razy się zdarza, że służąca przechodzi w kuchni grypę lub anginę?

Mamy nieraz służącą chorą chronicznie, o czem wcale nie wiemy. Zresztą i zewnątrz z powietrzem dostają się zarazki.

Jest rzeczą oczywistą, że przy ruchu powietrza bakterje, osiadłe na ścianach i suficie, mogą z łatwością dostać się do przygotowywanego posiłku.

W kuchniach węglowych piece często dymią, zanieczyszczając ściany i sufit.

W wielu kuchniach spotykamy robactwo, które najłatwiej usunąć przy odświeżeniu.

Na zasadzie powyższego twierdzimy, że kuchnia, a zwłaszcza kuchnie, w których się pierze i sypia, muszą być odświeżane co rok, że ze względu na zdrowie rodziny ten kłopot i wydatek są konieczne.

Przytem dbałość pani domu o czystość ścian i sufitu w kuchni oddziaływa psychicznie na służącą. Czystą kuchnię pomocnica nasza chętniej i staranniej sprząta, nabiera w niej pewnych higienicznych i estetycznych zamiłowań, łatwiej się godzi z wymaganiami naszymi co do porządku w naczyniach, ścierkach i własnym ubraniu.

Najwłaściwszą porą na odświeżenie kuchni jest jesień. Na wsi prawie wszędzie walczymy z plagą much, które brudzą ściany i sufity najwięcej przez lato. Robiąc remont w jesieni, usuwamy ich ślady do następnego lata. Pozatem na wsi w lecie prawie wszędzie gromadzi się więcej osób, co pociąga wzmózoną pracę w kuchni i większe jej zniszczenie.

W mieście, wobec wyjazdu właścicieli na lato, kuchnie często nie są w tym okresie wcale sprzątane, więc na jesieni wymagają gruntownego oczyszczenia.

Od późnej jesieni okna w kuchniach bywają stale zamknięte. Otwiera się je tylko kilkakrotnie dla krótkiego wywietrzenia, a zarazki, nagromadzone w ciągu roku, łatwiej się rozwijają przy małym dopływie świeżego powietrza. Trzeba więc je możliwie dokładnie usunąć przed zimą.

Rozpatrzmy bliżej kłopotliwą sprawę odświeżania kuchni na wsi i w mieście.

Na wsi remont jest trudniejszy ze względu na brak odpowiednich rzemieślników, natomiast mamy tam więcej miejsca do usuwania sprzętów kuchennych i więcej rąk do pomocy.

W mieście o malarzy nie trudno, żądają jednak wygórowanej zapłaty, przytem często nie stawiają się do pracy o umówionej porze, przez co nieporządek w domu przedłuża się niepotrzebnie. Ciężkim zadaniem także przy miejskiej ciasnocie jest usuwanie sprzętów na czas remontu. Jedyną na to radą jest możliwie najmniejsza ilość sprzętów w kuchni.

Bielenie nie jest widocznie rzeczą trudną, skoro wieśniaczki same bielą swoje chaty. W gospodarczych dzielkach niemieckich mówi się wiele o bieleniu i malowaniu mieszkań przez same gospodynie domu. Spróbujmy i my, polki, radzić sobie w razie potrzeby bez malarza. Na kilka dni przed bieleniem zabierzmy się do robót przygotowawczych.

1. Opatrzmy podłogę w kuchni, by się w niej nie gnieździło robactwo. Pozalepiajmy szczelnie kitem szpary przy listwach i między deskami.

2. Zastanówmy się, czy nie trzeba zmienić usta-

wienia sprzętów, w celu udogodnienia sobie kuchennej pracy. Zdarza się, że półki z naczyniami wiszą zbyt wysoko, lub zbyt nisko, albo stół, nad którym wisieć powinny, należy przestawić w inne miejsce. W takim razie wyciągamy ze ścian niepotrzebne haki, a otwory po nich zapełniamy zaprawą murarską z piasku z wapnem z dodatkiem cementu. Półki dopasowujemy do ścian w innych właściwych miejscach, gdzie wbijamy nowe haki.

Aby haki trzymały się mocno, nie trzeba ich wbijać w mur. Najpierw należy zagłębić w ścianę narzędzie, zwane „borem“, uderzając w nie młotkiem, czyli wyborować otwór. W otwór ten wbijamy drewniany kołek, a w kołek dopiero hak.

Jeżeli po odświeżeniu kuchni przyjdą nam na myśl zmiany w zawieszaniu cięższych rzeczy, podziurawimy i zespecimy ściany.

Lekkie wieszadła, używane do małych naczyń, łyżek kuchennych etc. wieszajmy na *X hakach*, które ściany nie niszczą i łatwo zawsze przenosić się dają.

3. O ile w kuchni zagnieździły się pluszki, jest bardzo wskazane przed bieleniem wysmarować ściany żółcią wołową.

4. Gdyby w kuchni okazała się potrzeba przestawienia lub oczyszczenia pieca, to zduńską robotę starajmy się wykonać przed odświeżeniem ścian, które się przy niej kurzą i brudzą, szczególnie na wsi, gdzie brak nieraz dobrych zdunów.

5. Gdzie jest w kuchni elektryczność, a przewody nie są ukryte w ścianie, należy przed bieleniem sprawdzić rozetki, przytrzymujące sznury przy ścianie, poprawiać je, względnie uzupełnić pokrywki, jeśli okażą się w nich braki. Przed samem malowaniem trzeba wykręcić, czyli wyłączyć korki. Starajmy się zacząć robotę malarską możliwie wczesnym rankiem, aby zmoczone sznury zdążyły wyschnąć przed wieczorem, nie należy bowiem zapalać światła, dopóki sznury są mokre, a zmoczenia ich farbą trudno uniżnąć.

Po bieleniu trzeba oczyścić pendzelkiem gniazda od korków z przyschniętej farby i dopiero włączyć korki i przewody do licznika.

Pamiętajmy też oczyścić transformatorki od dzwonek elektrycznych.

Przed samem bieleniem usuwamy sprzęty. Jeżeli z powodu braku miejsca, lub innych trudności nie da się usunąć jakiego ciężkiego sprzętu, np. kredensu, odsuwamy go od ściany i zasłaniamy szczelnie rogożami, brezentem, lub wprost prześcieradłami, które potem wyprać można bez trudności. Najlepiej jednak kuchnię przed bieleniem zupełnie opróżnić.

Sama czynność bielenia kuchni średniej wielkości nie trwa długo, szczególnie, jeżeli bielimy tylko sufit i górną część ścian. Malarz wykonywa tę pracę całkowicie w ciągu 4 — 5 godzin. Dłuższego czasu wymaga tylko skrobanie. Po parokrotnem bieleniu występują na ścianach i suficie rysy i pryszcze. Dowodzi to, że w ciągu lat na murze nagromadziło się zbyt wiele farby. Wtedy należy sufit i ściany po zmyciu skrobać, aby usunąć dawną farbę. Skrobanie wymaga ręki doświadczonego rzemieślnika i domowymi siłami skutecznym się nie da. Jeśli jednak sufit i ściany się nie pryszcza i tynk z nich nie odpada, zwykle bielenie nie przedstawia wielkich trudności.

Bezpośrednią wstępną czynnością jest obmycie ścian i sufitu mydlaną wodą zapomocą szczotki dla usunięcia pajęczyn, kurzu i śladów much. Ściany mu-

szą przeschnąć, a tymczasem przygotowujemy materiał do bielenia.

Używamy do tego tak zwanego tonu, czyli kredy z domieszką kleju stolarskiego, aby ton trzymał się dobrze i żeby ściana nie bieliła. Obie te rzeczy są niekosztowne. Na całkowite wybielenie kuchni lub pokoju średniej wielkości wystarczy 10 — 12 kg. tonu (w cenie około 12 groszy za 1 kg.) i $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{2}$ kg. kleju — obecnie wartości około 2 zł.

Prócz kleju stolarskiego, malarze dodają kłajstru z mąki żytniej. Do tej proporcji wystarczy dodanie kłajstru z 1 kg. mąki.

Ton rozrabiamy w wiaderku zimną wodą do gęstości rzadkiej kwaśnej śmietany, klej rozgotowujemy i wlewamy do rozcieńczonego tonu, dodajemy przygotowany kłajster, dokładnie mieszamy, cedzimy i przecieramy przez sito dla roztarcia grudek i mamy materiał gotowy. Jeżeli chcemy nadać jakiś kolor, dodajemy odpowiedniej farby, mieszamy z gotową zaprawą i próbujemy koloru na ścianie. Kawalek zamalowany musi wyschnąć, zanim zadecydujemy, czy kolor nam dogadza, bo pamiętajmy, że ściana po wyschnięciu będzie znacznie jaśniejsza, niż mokra.

Najmniej kłopotu i umiejętności wymaga zwykłe bielenie i to jest dla kuchni najwięcej wskazane.

Największą trudność przedstawia czasem zdobycie pendzla, gdyż dobre pendzle są dość kosztowne. W miastach można wynajmować pendzle w mydlarniach bardzo tanio (w Warszawie za opłatą 1 złotego dziennie).

Koniecznym przyborem jest mocna rozstawiana drabina, na której się bezpiecznie czuć i utrzymać można. Wiaderko z farbą zawieszają się na drabinie u góry, aby wygodnie było maczać w niej pendzel.

Ubranie do bielenia nakładamy najgorsze, głowę szczelnie osłaniamy czepkiem lub chusteczką. Podłogę posypujemy trocinami, lub wyścielamy gazetami, co oszczędza trudu przy późniejszym myciu.

Zaczynamy bielenie od sufitu. Trzeba pociągać pendzlem w kierunku prostopadłym do okna, gdyż wtedy w świetle, po wyschnięciu, najmniej uwidaczniają się smugi.

Ruchy pendzla powinny być równe, pewne, wykonywane w jedną i drugą stronę, mówiąc popularnie „tam i z powrotem“.

Wybieliwszy przestrzeń, której można dosięgnąć z drabiny, schodzimy i drabinę przesuwamy dalej. Malarze wprawdzie przesuwają drabinę, stojąc na niej, lecz na to trzeba być... malarzem.

Ściany bielimy, zaczynając od góry, stojąc na drabinie. W kuchniach bez lamperji olejnej bielimy dolną część ścian, stojąc wygodnie na podłodze.

Resztę farby przechowujemy w wiaderku do następnego dnia, gdyż po wyschnięciu mogą się okazać miejsca, potrzebujące poprawienia.

Skończywszy bielenie górnej części ścian nad lamperją olejną lub kaflami, możemy przystąpić do mycia lamperji.

Olejną lamperję najpraktyczniej myć wodą z amonjakiem (na 10 części wody — 1 część amonjaku). Najlepiej posługiwać się w tym gąbką, lub szczotką bawełnianą, która nie drapie i nie niszczy olejnej farby.

W związku z jesiennym remontem, wszystkie kuchenne sprzęty muszą być dokładnie umyte. Do mycia olejno malowanych, lakierowanych sprzętów radzimy też wodę z amonjakiem, lub proszek „Wim“,

rozpuszczony w wodzie, gdyż od mydła farba żółknie. Szufłady stołów wewnątrz i zewnątrz oraz listwy, na których szufłady się opierają, powinny być wyszorowane; blaty stołów i krzeseł od spodu, części szaf, przylegające do ścian, należy też umyć starannie. Znajdziemy tam napewno brud, kurz i pajęczyny.

Robiąc tak dokładny porządek ogólny, zauważymy najłatwiej braki i uszkodzenia w naczyniach, przyborach i narzędziach. Rzeczy, nie nadające się do użytku, usuwamy, wykreślając je z dawnego inwentarza kuchennego. Inne, zepsute, staramy się oddać jak najprędzej do naprawy. Wszelkie zepsucia i braki zapisujemy, aby stopniowo w logicznej kolejności doprowadzić wszystko do zupełnego porządku.

Naturalnie, najwygodniej powierzyć bielenie kuchni wykwalifikowanemu rzemieślnikowi, któremu pół dnia zupełnie wystarcza na tę robotę (bez skrobania).

Ponieważ jednak nie każda gospodyni może sobie na to pozwolić, a kuchnie muszą być czyste, próbujmy tanim kosztem wykonać bielenie, choćby przy pomocy służącej stalej, lub przychodniej.

Idzie tylko o to, by w nas dojrzała świadomość, że „laboratorjum“, w którym przygotowujemy posiłki, mające dać zdrowie rodzinie, nie może być brudne i zakażone zarazkami, a z tej świadomości wypłyną siły, środki i sposoby, których nigdy nie brak naszym kobietom w trosce o najdroższe istoty. M. Ulanicka.

KUCHNIA WŁOSKA

II.

Obiad — właściwie posiłek wieczorny, pranzo — zupełnie równorzędny z posiłkiem południowym, mało co się od niego różni. Zaczyna się tak samo, od zupy, tylko zamiast rosółu (brodo) mamy zupę gęstą, zaprawianą (minestra); zamiast makaronu, lub innej potrawy mącznej — jakąś jarzynę z garniturem, jakieś półmiski wędlin, czy też rybek marynowanych, jaj na twardo, sardynek, oliwek i t. p.; nazywa się to antipasta. Następnie wyborne pieczyście — wyborne w tym sensie, że doskonale upieczone, z chrupiącymi kartofelkami i sałata.

Co do sałaty, to włoskom stanowczo brak pomysowości: zawsze ta sama sałata głowiasta i zawsze zaprawiona oliwą; narazie jest to bardzo smaczne, ale z czasem nuży.

Jako legumina — najczęściej kompot (frutta colta) z wybornych brzoskwiń; bywają jednak i inne słodczyce (dolce): torty z kremem, kremy mrożone i t. p. Nie spotkałam nigdy w obiedzie lodów, które się tu jada w każdej porze dnia i nocy — tak, nocy, bo wyspani w dzień włosi długo w noc nie śpiąją i nawet w miejscowości kuracyjnej, gdzie chodzi o regularny tryb życia, teatr, kino i koncerty kończą się po pierwszej w nocy. Po nich się właśnie jeszcze jada lody i pija czarną kawę, która, nawiasem mówiąc, jest wszędzie wyborna — czego o innych potrawach nie zawsze powiedzieć można. Kawę tę robią w aparatach „Express“, zachowując przy tem cały jej aromat. Kawę taką piją włosi od siódmej rano do pierwszej w nocy, zawsze jednak w niesłychanie małych filiżaneczkach. Herbaty, poza cukierniami, specjalnie uczęszczanymi przez Anglików i Amerykanów, zupełnie się nie spotyka.

Powiedziałam, że nie zawsze można dobrze mówić o potrawach włoskich, nie dlatego, żeby te potrawy były złe. Przeciwnie: w założeniu kuchnia włoska jest wyborna, lecz to samo danie bywa lepiej, lub gorzej wykonane i przyprawione, co się nietylko włoskim „cuocca”, lecz i naszym kuchmistrzynom zdarza.

Podstawą kuchni włoskiej — zaczynając od najwykwintniejszej, a kończąc na najskromniejszej — są potrawy mączne, więc wszelkiego rodzaju kupne i domowe makarony i kluski, zawsze bardzo dobre, bez śladu zapachu kleju, tak powszechnego w makaronie polskiej fabrykacji. Rozmaitość tego „suchego ciasta” (pasta asciugga) jest ogromna i pod względem kształtu i pod względem sposobów przyprawiania.

Zasadą jest, że się żadnego makaronu ani przed, ani po ugotowaniu nie łamie i nie kraje. Podaje się go w całej długości. To też jedzenie takich biczyków, a nawet nabieranie ich z półmiska na talerz jest specjalną sztuką, którą tylko włosi posiadają. Jedni nawijają niestęchanie zręcznie te cieńsze, lub grubsze nici na widelec i taką olbrzymią kluskę wkładają w szeroko otwarte usta; inni podnoszą na widelcu kilka makaronów do ust, poczem powoli je wciągają, posilkując się podpieraniem dalszego ciągu widelcem. I jeden i drugi sposób jest wysoce niestetyczny; a jednak, jeżeli cudzoziemiec sobie ładnie pokraje ów makaron na talerzu i zjada go czysto widelcem — całe otoczenie przygląda się mu z nietajonem zdziwieniem.

Umiejętność gotowania makaronu jest nadzwyczajna. Nigdzie się nie dostanie gotowego, już ugotowanego makaronu. Wszędzie trzeba nań zaczekać minut dziesięć, to jest właśnie tyle, ile trzeba, aby utracił surowiznę, lecz nie sflaczał, nie rozkleił się. Dobrze ugotowany, powinien zachować pewną jędrność, stawiać pewien opór zębom. Jada się go w rozmaitych przyprawach, zawsze posypyany dużymi ilościami ostrego, tartego parmezanu (parmiggiano). Najsmaczniejszy jest „con sugo” (z sokiem); jest to rodzaj sosu pomidorowego, ogromnie esencjonalnego, którego przepisem nieomieszkać się wkrótce podzielić z czytelniczkami „Bluszczo”.

Poza makaronem jada się całe szeregi rozmaitych gotowanych pierogów i pierożków — „ravioli”, „agnolotti” i t. p. — z różnymi mięsnymi i jarzynowymi nadzieniami, zawsze polane, a raczej obłożone masłem i posypane serem.

Specjalną grupę potraw mącznych stanowią „njoki” (gnocci), co się dosłownie tłumaczy: kluski. Są one znacznie lżejsze od naszych polskich klusek, bardzo pożywne, gdyż robione na dużej ilości jaj i przeważnie, już po ugotowaniu, jeszcze zapiekane — polane masłem i posypane grubo serem, który powinien w gorącu pieca się rozpuścić i uformować cieniuchną skorupkę.

Już to sery w ogólności, a szczególnie ser ostry — parmezan — odgrywają ogromną rolę w kuchni włoskiej. Sypie się go całymi łyżkami do każdej zupy, niezależnie od tego, czy jest to czysty rosół, czy też gęste minestra; zjada w olbrzymich ilościach z daniami mącznymi, obsypuje nim jarzyny do zapiekania, lub dla nadania ostrości mdłym, jak szpinak i t. p.; wkłada się do każdego nadzienia, do każdego zagniatanego ciasta. Nakoniec każdy deser, obok owoców, składa się z sera, a raczej z kilku gatunków sera do wyboru.

Wbrew ogólnie utartemu przekonaniu, że włosi żywią się samymi jarzynami, a prawie nie jadają

mięsa, jadają oni właśnie dużo mięsa i to mięsa bardzo dobrego. Mięso miejscowego, krajowego uboju jest znakomite. Jest ono mniej więcej dwa razy droższe, niż w Polsce, ale bardzo wydajne, gdyż pochodzi z ogromnych, w miarę ukarmionych sztuk. Ludność mniej zamożna spożywa przeważnie mięso mrożone, importowane z Argentyny. Widziałam takie mięso w jatkach specjalnych — wygląda bardzo apetycznie. Jest tam wołowina, cielęcina i baranina. Nie wolno w jednej jatce sprzedawać mięsa świeżo bitego i przywozowego, mrożonego, a to w celu uniknięcia nadużyć, do których, niestety, i współczesny włos jest niestęchanie skłonny; czego dowodem są ciągle „nabierania” cudzoziemców na monetach.

Dziesięcio i dwulirówki są zupełnie jednego rozmiaru i kształtu; pięciolirówki i pięćdziesięciocentymówki również — ogromnie trudno na oko je odróżnić i chyba niema cudzoziemca, któryby kilka chociaż razy nie padł ofiarą zręcznego oszukańca.

Wracając do mięsa, poza gatunkami mięs rzeźniczych, zjada się we Włoszech olbrzymie wprost ilości drobiu, głównie kur i kaczek; ceny drobiu są stosunkowo niższe, niż innego mięsa. Króliki, gołębie, różne drobne ptaszki, pomiędzy którymi już przepiórka jest uważana za dużą sztukę, leżą stosami na rynkach. Bażanty, indyki i zające stanowią wyborową arystokrację, wysoko cenioną. Bardzo dużo widzimy perliczek, znacznie droższych od kur; widocznie pełnią tu zaszczytną rolę, rzadkiej we Włoszech, zwierzę. W dziale mięs rzeźniczych mamy dużo bardzo ładnej, wyłącznie z młodych sztuk pochodzącej wieprzowiny i śliczne mięso jagnięce z jagniąt mlecznych. Jest to prawdziwy przysmak, u nas nieznan.

Zacząłbym mówić nie o kuchni właściwej, lecz o zaopatrzeniu rynku, co jedno z drugim w ścisłym pozostaje związku, gdyż najlepszy kuchmistrz nie potrafi wykonać dobrego dania bez dobrego materiału.

Zanim przejdę do stosowania mięs tych w kuchni, muszę poświęcić zaszczytną wzmiankę włoskim wędlinom. Szynki włoskie (prosciutto) — czy to surowe czy gotowane — dadzą się porównać chyba z najlepszymi, litewskimi, a olbrzymie w przekroju salami, znakomicie uwędzone, służy za niedościgniony wzór wszystkim tego rodzaju wyrobom innych krajów europejskich.

Pani Elżbieta.



CIELECINA Z RYZEM PO WŁOSKU.

(Ossa bucca).

Używa się na tę potrawę — gwoli tradycji — głównie część pieczeni cielęcej ponad kolanem, czyli golonkę, krajając ją w poprzeczne płyty, grubości centymetra lub nieco więcej, przy czym w środku każdego kawałka powinien się znajdować kawałek kostki ze szpikiem, właśnie ta „dziurawa kostka”, która nadaje nazwę potrawie.

Naprzód należy przygotować dobre risotto. Ryż, przedko opłókaný w zimnej wodzie i osuszony na płótnie, sypiemy na

masło lub oliwę, zasmażone z drobnutko posiekaną cebulką. Smażymy ten ryż, wciąż mieszając, aż nabierze koloru pszennej słomy, poczem odstawiamy na brzeg blachy i dolewamy doń, od czasu do czasu, po parę łyżek tłustego i słonego rosółu. Powinien wolniutko pęcznić w tym rosole, nie gotując się mocno, aby był sypki i smaczny. Gdy ziarno ryżu przegryzione nie ma surowizny w środku, risotto jest gotowe; nie należy go gotować dłużej, tylko przykryte wstawić w niegorący piec, aby nie ostygło.

Kawałki golonki, obsypane mąką i lekko osolone, rumieni się ładnie z obu stron na oliwie lub maśle, składa do rondla, dodając parę listków szafwiji i rozmarynu, zalewa tłuszczem z patelni, rosółem i winem białym. Dusi się wolno, pod pokrywą, aż mięso zmięknie. Ryż się układa na półmisku, pokrywa zrazami cielęciny kawałek przy kawałku, polewa to wszystko sosem, uformowanym przy duszeniu, posypuje grubo tartym serem-parmezanem i wstawia jeszcze raz na dwie — trzy minuty do pieca. Oddzielnie podaje się do tego ostry ser tarty.

SELERY LIŚCIASTE NA JARZYŃĘ.

(*Sedane con parmigiano*).

Selery liściaste, салатowe — czy to jeszcze z ogrodu, czy już przechowywane w piwnicy — należy związać łyżkiem u nasady liści i trzymać tak aż do chwili, gdy się łodygi należyście wybiela. Liście usunąć, same łodygi wraz z oczyszczonym ze skórki korzeniem, który u tego gatunku selerów jest nieduży, namoczyć na godzinę w zimnej wodzie, umyć, związać łyżkiem i wrzucić na gotujący się, mocno osolony wrzątek. Gdy jarzyna się ugotuje (powinna zostać jędrna), odlewamy ją na durszlak lub sito, i zlewamy zimną wodą.

Ułożone na ogniotrwałym półmisku selery polewamy obficie topionym masłem, posypujemy każdy seler grubo tartym, ostrym serem-parmezanem i wstawiamy w dobrze gorący piec. Ser powinien się roztopić i uformować na jarzynie cienką, jasno-złotą skorórkę. Podaje się ją na tym samym półmisku bardzo gorąca.

ZIELONY MAKARON.

(*Pasta verde*).

Ćwierć kilo starannie przebranych liści szpinaku wrzucić na osolony wrzątek, zagotować raz, odcedzić na durszlak, przelać zimną wodą i przepuścić przez maszynkę, lub przetrzeć przez sito. Przełożyć tę masę do miski, wbić dwa jaja całe, dodać dwie łyżki wody zimnej, dużą garść parmezanu, łyżeczkę soli i tyle mąki pszennej, aby można było zagnieść ciasto, jak na kluseczki krajane. Po doskonałym wyrobieniu przykryć ciasto miską i dać mu poleżeć godzinę. Następnie rozwałkować jaknajcieniej, zwinąć w rolkę, przesypując lekko mąką, aby się nie sklepiło. Kroić ostrym nożem w cienkie paski, które należy pozostawić tak długie, jak się ukrajają. Jest to charakterystyczną cechą wszystkich włoskich makaronów, że przy gotowaniu nie kraje się ich, lecz

podaje jaknajdłuższe. Gotuje się ten makaron w bardzo dużej ilości osolonego wrzątku. Gdy tylko utraci smak surowej mąki, natychmiast odlać na durszlak lub sito. Nie powinien być rozgotowany, ani rozklejony: musi stawiać pewien lekki opór zębom. Na półmisku pokrywa się makaron ładnymi płatkami, lub kulkami śmietankowego, zimnego masła. Ser ostry, tarty podaje się doń oddzielnie.

NJOKI (*Gnocci*).

Ugotować bardzo gęstą kaszę manną na mleku, doskonale rozkleić, dodać na szklankę kaszy trzy szklanki mleka, dwa jaja całe i dziesięć deka utartego sera-parmezanu. Wymieszać doskonale; gdyby była mało słona — dosolić. Rozłożyć cienką na pół centymetra warstwą na duży półmisek, lub deskę marmurową i zastudzić zupełnie. Gdy ostygnie i stwardnieje, wycinać szklanką krążki, ułożyć na ogniotrwałym półmisku, poleć obficie masłem, posypać grubo ostrym serem i wstawić w piec dla zrumienienia. Podawać gorące w tem samym naczyniu.

KOMPOT WŁOSKI (*Frutta cotta*).

Kompoty włoskie tem się różnią od naszych, że gotuje się owoce w bardzo gęstym syropie, jak na konfitury, a podaje zupełnie bez tego syropu, prawie na sucho, zużytkowując kolejno syrop na ugotowanie różnych gatunków owocu. Naprzykład: jeżeli kompot ma się składać z brzoskwiń, gruszek i śliwek, to najprzód obieramy gruszki, wkładamy je w gęsty syrop, gotujemy, aż zmiękną, wyjmujemy durszlakową łyżką na półmisek, a na ich miejsce wkładamy obrane ze skórki i przepołowione brzoskwinie. Te gotujemy bardzo krótko, aby się nie rozpadły i też odcedzamy. Nakoniec wkładamy namoczone w pierw na 24 godziny śliwki i smażymy w syropie, pozostałym od pierwszych dwóch gatunków owoców. Śliwki powinny wchłonąć cały syrop, pozostając prawie suche zewnątrz, lecz ładnie połyskujące i zupełnie miękkie wewnątrz. Układamy te owoce na salaterkach, nie mieszając, lecz każdy gatunek oddzielnie, i dojemy im dobrze ostygnać.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Do reperacji kaloszy, śniegowców, a nawet do przyklepienia łań na bucikach używa się następującego lepu: jedną część drobno pokrajanej gutaperki (stare rurki, piłki i t. p.) wsypać w butelkę, zalać siedmioma częściami benzyny, zatkać hermetycznie i trzymać tak długo na słońcu, aż guma się rozpuści i otrzymamy gęstawy lep; smarujemy nim przedmioty wymagające naprawy, i przytrzymujemy chwilę po przyklepieniu.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Byteń w obrazach i rzeczywistości.

Byteń dzisiejszy, jak tysiące podobnych, kresowych miścin, scharakteryzować można słowami: „ni to wieś, ni miasteczko”.

Oto przy trakcie napoleońskim, vis-à-vis ruin cerkwi, minjaturowy kościół na wzgórku; niżej, z dwóch stron domki drewniane. Nieliczne drzewa, cieniem przypadłe do ścian, wystrzelają z szarego tła wszystkimi tonami zieleni, które jesień powleka już czerwienią i złotem. Wzdłuż nich „kocie łebki”: kiepska imitacja bruku, kończącego się u brzegu Szczary mostem drewnianym. Gdzienegdzie, za wąską taśmą chodnika kwiaty, obrzeżone parkanem. Jeszcze dalej grzędy, pełne jarzyn. I przeciwieństwo: co krok sklepik maleńki, naturalnie żydowski.

Każdego 20-go odbywa się tu kiermasz. Świąt bardzo wiele. Jednak są gwarne i barwne, migające tęczą odświętnych ubiorów. Obok kłoszowych sukienek, spostrzec można łapcie z łyka, to znów wełniak łowicki. W głuchy bełkot zlewa się wówczas huk i trzask, turkot furmanek, rżenie koni; jak przygrywką dźwięczą słowa w trzech językach, szybkie i drżące uśmiechami, niczem karnawałowe konfetti. Lecą na ziemię łuski z „siemiacek”, którymi nierzadko, w przełocie, można dostać w twarz.

Popołudniu tłum, syt zarobku, czy rozrywki, rozchodzi się, wsiąka razem z gasnącym dniem w zachód i mrok. Już tylko pojedyncze cienie błędzą po bruku. Czasem załka piosenka. W ciemni za opłotkami dzwoni jej akord tęsknie, szeroko, rozgłośnie, jak wołanie w step, na wolę wiatrów i burz. Zresztą cisza.

Odmienne bywa co sobota, w żydowskie uroczystości, skryte za dnia, o pewnych godzinach, w szczelnie zamkniętym domu. Pusto wówczas i cicho wszędzie. Wieczorem powietrze nasiąka zapachami odorujących, jak haszysz, perfum. Wylegają na ulice dzieci, niewiasty czarnoookie, ślicznie ubrane, ślicznie obute, iście wycięte z najnowszych żurnali mód. Obok młodzieńcy: ufryzowani i wyświeżeni przed świąteczną rewją, przeginają się wdzięcznie. Na ustach modny szlagier. O la la...

Płynie ta fala, szeleszcząc jedwabiami, za most, ku srebrzącej się zdala rzece, albo skręca pod korony drzew prastarych, kędy bliżej bruku wznoszą się pryncypalne budynki. Urząd gminny z garażem samochodowym, posterunek policji, Dom Ludowy, poczta, szkoła. Ta ostatnia nominalnie tylko, ponieważ właściwe sale szkolne mieszczą się aż w trzech, znacznie od siebie oddalonych domach.

Dnie codzienne jedną mają wymowę: szarość. Narzuca na nie słoneczne plamy szczebiot i śmiech beztroski, jak świegolenie ptaszące. To dzieci. Starsze nieco bębny, maszerują w pogodę pod opieką panienki w czerwonej czapce. Bawi się z niemi i ugania, ku uciesze rodziców, wdzięcznych Związkowi Gospodyń Wiejskich w Słonimie za przedszkole. Szkoda, że sezonowe, do listopada tylko. Ale najgłośniejsi są ci ze szkoły. Wszystkich zarówno dziwi słońce i deszcz, kwiaty i pieśni, żalosaną psalmodją obwieszczające pogrzeb, i każde auto, co przebiega z szumem przy porykach sygnałowych syreny. Już zdaleka poznają: o, jedzie „Miss Byteń” (własność prywatna amerykańczyna); całymi godzinami przypatrują się napra-



Przedszkole na powietrzu.

wie innych maszyn, unieruchomionych przed „pracownią ślusarską”. Kontemplacje te przerywa tylko wołanie: Józio! Heniek! Bezsilne, gdy powietrze zachrząci zduszonym przez oddal warkotem szybującego wysoko, wysoko między chmurami ptaka-aeroplanu.

Wszystkie warstwy, różne wiekiem i językiem, gromadzi Dom Ludowy na przedstawienia lub inne zbiorowe uroczystości. Rzadkie one są, prawdziwe wydarzenia w tutejszej monotonii, ale też niezbyt zachęca oczekiwanie, wlokące się, plus minus, od dwóch do czterech godzin! W trakcie tego zaduch, gorąco, hałas trójjęzyczny splecionej bez ładu ciżby ludzkiej, fałszywe chwila fanfary, które siarczyście, od ucha gra orkiestra straży ogniowej. Wszystko to razem tworzy jakiś wrzaskliwy jazz-band i upodobnia salę teatralną do spelunki.

Zapominało się przecież o tem podczas prześlizgniętych, pełnych artyzmu, dramatów, treścią z historii i baśni czerpanych, a działających, jak czar, mimo niepełnego zrozumienia słowa. Dawala je ubiegłej zimy trupa ukraińska. Potem, istniejący tu podówczas „Referat Oświaty Pozaszkolnej” wystawił „Niespodziankę” Roztworowskiego. Arcydzieło, w wykonaniu okazało się parodią, jak również następne, domorosłe „premjerę”: dwa razy grany „Grzech krwi”, oraz „Wrogowie”. Fabuła fatalna, zmysły, krzyczące gwałtu, zbrodnia, w pożodze, wreszcie w śmierci szukająca zapomnienia. Zupełnie, jak w niedalekiej Bolszewji. Jej to wizja ukazywała się na tle logicznych, etycznych i historycznych nonsensów tych sztuczydeł. Już lepsze, naiwne dwuaktówki białoruskie uczyły śmiać się szczerze, bez ironji, bez wstydu i bez... lęku.

Były też występy amatorów ze Słonima. Trzy razy już nawiedzali Byteń, żegnani hucznie oklaskami. Gdybyż jeszcze na marginesie sztuk w rodzaju „Fruwającej dziewicy”, czy „Sublokatorki”, umieszczono słowa: „Wstęp dla młodzieży wzbroniony!” Znikłaby wtedy ta młodzież i z miejscowych, nieodpowiednich dla niej, przedstawień filmowych. Nie zwraca się na to uwagi, już od dwóch lat, tolerując również obecność uczniów i uczennic na „zabawach”.



Kościół w Bytowie.

które od szeregu miesięcy są jedynym wyrazem działalności społeczno-oświatowej w Bytowie.

A przecież mówi się szumnie przy każdej sposobności o „Towarzystwie Domu Ludowego“, o „Ognisku Oświatowym“ przy Związku Nauczycieli Szkół Powszechnych. Jest podobno latarnia projekcyjna i biblioteka w gminie; zamiast jednak urozmaicać zebrania Związku Strzeleckiego, Związku Osadników, nauczycielstwa, pomoce te, schowane zazdrośnie w szafach, pokrywają się pyłem i niszczeją, w myśl „wzniosłej“ maksymy: „ni mnie, ni tobie“. I nawet nie wszyscy o nich wiedzą. Skąd to pochodzi?!

Przyczyny są głębokie i proste zarazem. Jak stwierdzają statystyczne dane, na 9 tysięcy ludności, trzy dziesiąte jest żydowskiej, jedna czwarta białoruskiej, Polaków znikoma ilość, około 50 osób. Stanowią więc oni wyspę w morzu. Są to przeważnie przybysze z różnych okolic kraju, osiedli tu „dla chleba“. W kilku domach autochtoni, Polacy, „na codzień“ mówią po rosyjsku. Inteligencja (garstka jej), podzielona na koterje, obozy, zwalczające się wzajem, to tajne, to znów jawne, zależnie od sytuacji i... potrzeby. Klótnie, intrygi, ploteczki, oto treść życia, idącego po linii najmniejszego oporu. Niema w niem miejsca na porozumienie, przeciwnie: utrzymuje w stałej animozji osoby z szerszą inicjatywą i energją, podrywając im poprostu grunt pod stopami.

Ster dominującej w miasteczku organizacji społecznej ujmują, albo ci, którzy absolutnie nie robią, wybrani przez „Towarzystwo wzajemnej adoracji“, albo inni, do niej także należący, u których „szczerą chęć“ nie może zastąpić braków, uwidoczniionych na arenie publicznej, jako błędy nie do darowania.

W wyniku, kompromitacja polskości wobec żydów i Białorusinów, śledzących od lat ze zgorzeniem owe rozłamy, a pełnych uznania jedynie dla zwartych solidarnością i ideą osadników wojskowych.

Ale jakże ciężko, jak ciężko żyć w podobnych warunkach jednostkom, które nienawidzą „bagienka“!

Kresy nasze wołają wielkim głosem o dopływ świeżych sił obywatelskich, o ludzi z szerszego świata, o entuzjastów, romantyków zamierzeń, o realistów pracy.

Zofja Persoska — Bytów

Zwalczajmy tradycyjną nieufność (w odpowiedzi p. H. Spoczyńskiej).

Na podstawie długoletniego doświadczenia i obserwacji, jako matka i była nauczycielka, twierdzą, że kobiety stanowczo nadają się lepiej na wychowawczynie, niż mężczyźni.

Ciężką krzywdę wyrządza się kobietom odsuwając je od kierownictwa w zakładach żeńskich i dając pierwszeństwo siłom męskim w tych zakładach.

Najwyższy czas postarać się, by równouprawienie kobiet było wprowadzone w życie w całej swej rozciągłości. Równe kwalifikacje, więc równe prawa. Zbytnią delikatność, z jaką kobiety dotychczas o swe prawa walczyły, okazała się bronią mało skuteczną. Należy być stanowczo w tych sprawach energiczniejszemi, gdyż trzeba nie prosić, ale żądać; mamy prawo tego, co nam się słusznie należy.

Jak p. Spoczyńska słusznie podkreśliła, chociaż sfery kobiece cierpią też na „tradycyjną nieufność“, jednak inteligentniejsze łatwo zmieniają zdanie. A właśnie zdanie tych ostatnich powinno być miarodajne. Uważam, że to samo można zastosować i do mężczyzn.

Jak stwierdza autorka, wielu jest profesorów uniwersytetu i zwierzchników, którzy uznają istotną wartość pracy kobiet. A więc ludzie z wyższym wykształceniem i inteligencją, nieprzeciwni. A że takich jest mniejszość, większość naturalnie tej pracy nie docenia.

Odpowiadając na pytanie pierwsze twierdzą, że w szkole żeńskiej powinny uczyć przynajmniej w znacznej większości siły żeńskie, a tylko w braku ich, męskie.

Dlaczego? Po pierwsze ze względów moralnych. Nie da się zaprzeczyć, że moralność kobiety stoi o wiele wyżej, niżli moralność mężczyzny. Dziś jeszcze powszechnie uznaje się t. zw. podwójną moralność, i często tego, co w istocie jest bardzo niemoralne, męczycyzna za takie nie uznaje.

Ja sama znam dwa wypadki, gdzie męczycyzna, piastujący stanowisko kierownika w szkole żeńskiej, zwabił dziewczątka 14-letnie do swej kancelarii w celach erotycznych. W jednym wypadku został za to usunięty; w drugim, mając za silne „plecy“, pozostał, mimo rozpaczliwych rodziców, którzy z obawy przed szykanami, nie mogli dalej interwenjować.

Druga kwestja: w szkołach męskich do kl. III-ej, a potem w V-ej, VI-ej, powinny uczyć też i kobiety.

Umotywowała to już sama p. Spoczyńska, dla przypomnienia pozwolę sobie zacytować: „Sądzę, że walorami pierwszorzędnymi tej pracy jest zmysł rzeczywistości, silnie rozwinięty u kobiet, a zarazem zdolność do intuicyjnego wnioskowania w zawile sprawy życia, wraz z umiejętnością harmonizowania ideału z codziennością, spraw wielkich z drobnymi, a oprócz tego wiele entuzjazmu i wytrwałego oddania się zawodowi nauczycielskiemu“.

Tak, trochę uczuciowości brak panom wychowawcom, bo, chcąc młodemi duszami kierować, trzeba umieć je najpierw wyczuć.

Mogę potwierdzić też spostrzeżenie, że nauczycielki są sumienniejsze w wykonywaniu swych obowiązków.

Męczycyzna jest przeważnie za wygodny, nie lubi się przemęczać. Poza tem na swoje przyjemności, musi mieć czas, którego zwykle potem brakuje na poświęcenie dzieciom poza lekcjami.

Szkoda tylko, że tak niewielu męczycyzn czytuje artykuły w „Bluszczu“ i wogóle pisma kobiece, poruszające tak ważne kwestje życiowe. Cóż z tego, że się wypowiadamy: ci, dla których te myśli są przeznaczone, i którzy powinnyby z nich korzystać, ci tego nie czytają.

Wprowadzenie celibatu uważam również za krzywdę dla kobiet. Nauczycielka zamężna może swoje obowiązki spełniać tak samo dobrze, jak żonaty nauczyciel.

Dałoby się jeszcze wiele na ten temat powiedzieć, lecz spodziewam się, że mój głos w tych kwestjach nie będzie ostatni.

Mil. Ada.